



***Lori Wilde***

---



***Magiczny naszyjnik***

---

# PROLOG

*Poszukiwane amatorki dzikiej natury! Czy nadajesz się na żonę dla kawalera z Alaski?*

Cammie Jo Lockhart siedziała po turecku na łóżku i odsunawszy przedtem na bok laptop, wpatrywała się w sto dziesiątą stronę popularnego magazynu kobiecego.

Powinna pracować nad doktoratem, naprawdę powinna, ale zdjęcie czterech przystojniaków z Alaski, o zdecydowanie nagich torsach było bardziej kuszące od „Roli komputera osobistego w rozwoju archiwistyki”. Nie warto udawać, że jest inaczej...

Czerwcowy numer „Metropolitana”, który pojawił się w jej skrzynce pocztowej w połowie maja, z ogłoszeniem kawalerów i towarzyszącym mu, sponsorowanym przez wydawcę, konkursem na krótki tekst, bardzo ją podekscytował. Nagrodą za najlepszą pracę miały być dwutygodniowe wakacje w Bear Creek na Alasce. Wszelkie koszty pokrywał sponsor.

I to właśnie perspektywa podróży zainteresowała Cammie Jo. Barczyste osiłki w niebieskich dżinsach mogły być co najwyżej premią na dokładkę.

Wkrótce miało nastąpić rozstrzygnięcie konkursu. Szkoda, że w ostatniej chwili stchórzyła...

Cammie Jo westchnęła, spoglądając na zdjęcie, przy którym popuściła wodze fantazji. Quinn Scofield, przewodnik po dziewiczych rejonach Alaski. Caleb Greenleaf, przyrodnik. Jake Gerard, właściciel pensjonatu oferującego noclegi ze śniadaniem, i Mack McCaulley, pilot hydroplanu, podstawowego środka komunikacji na Alasce, gdzie przecież pełno trudno dostępnych terenów. Wszyscy czterej byli nieludzko przystojni, ale z jakichś powodów jej spojrzenie przyciągał Mack, ten ostatni.

Co za facet... W tym mężczyźnie było coś takiego, że palce ją piekły, kiedy przewracała stronę, żeby o nim przeczytać.

Tak właśnie wyobrażała sobie mężczyznę swych marzeń, nie zapominając ani na moment, że to marzenie na zawsze pozostanie w sferze uroczych mrzonek. Szatyn ze zmysłowym dołkiem w podbródku, o lekko śniadej cerze i głębokich czekoladowych oczach. Miał arogancki wyraz twarzy, mówiący: Nie boję się nikogo i niczego.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, wsunęła magazyn pod narzutę. Nie chciała się zdradzić przed ciotkami, że ona, poważna asystentka na uniwersytecie, ma słabość do głupich pism kobiecych. Poprawiła na nosie grube okulary w czarnych oprawkach i wcisnęła kosmyk włosów w upięty na czubku głowy koczek.

- Proszę.

Drzwi się otworzyły i jej trzy cioteczne babki, z którymi dzieliła dom w pobliżu Uniwersytetu Stanowego w Austin, wsunęły głowy do środka.

- Wiesz co? - zaczęła ciotka Coco z charakterystycznym, typowym dla południowców zaśpiewem.

- To takie podniecające! - Niebieskie oczy ciotki Hildegardy skrzyły się radością.

- Wygrałaś! - nie wytrzymała ciotka Kiki.

- Wygrałam...? Co wygrałam?

- Konkurs.

- Jaki konkurs?

- No, z tego kolorowego magazynu, który tak lubisz czytać. No wiesz, ten z kawalerami z Alaski, w którym nagrodą są darmowe wakacje.

- Ale ja nie brałam udziału w żadnym konkursie. - Cammie Jo zaprotestowała, uświadamiając sobie nagle, że została zdemaskowana.

Ścisnęło ją w dołku, a jednocześnie ogarnęło ją bardzo przyjemne podekscytowanie. Pomyślała o kilku zdaniach, które nabazgrała na jakimś

skrawku papieru, wsunęła potem między kartki pisma, nie zamierzając jednak nigdzie wysłać. Tekst brzmiał następująco:

*Chcę pojechać na Alaskę, bo jestem bardzo nieśmiała, a najbardziej na świecie marzę o tym, żeby stać się odważna i pewna siebie. Jeśli nie zmienię się po podróży na Alaskę, już nic mi chyba nie pomoże.*

- Znalazłyśmy twoją odpowiedź na pytanie konkursowe i wysłałyśmy ją w twoim imieniu.

- Nie - Cammie Jo potrząsnęła głową.

- Tak - powiedziały unisono.

Dałaby wszystko, żeby zobaczyć miejsce urodzenia swojej dzielnej matki, ale panicznie bała się latać, peszyło ją nieznane otoczenie, przerażały dzikie zwierzęta, każda nowa sytuacja, świadomość, że jest daleko od domu i że może się ośmieszyć.

- Nie mogę.

- Zgodziłyśmy się za ciebie. Bilety na samolot nadeszły w dzisiejszej poczcie. - Ciotka Kiki podała jej kopertę. - Lecisz jutro.

- Nie mogę lecieć jutro!

- Owszem, możesz - stanowczo powiedziała Hildegarda. - Jesteś już spakowana. Odnowiłam ci nawet receptę na szkła kontaktowe.

- Nie lubię nosić szkieł kontaktowych.

- Musisz podkreślać swoje atuty, kochanie. Zamówiłam na próbę nowy kolor. Szmaragdowozielony.

- Nie myślałam o polowaniu na męża. Chcę tylko odwiedzić Alaskę.

- Więc wykorzystaj swoją szansę. - Ciotka Kiki puściła do niej oko. - Latem nie masz zajęć, nie próbuj wymyślać żadnej wymówki.

- Muszę skończyć tę pracę...

- Do października.

Cammie Jo wzdrygnęła się i wcisnęła ręce do wielkich kieszeni szarego, powyciąganego swetra.

- Przecież wiecie, że brak mi odwagi, by odbyć tę podróż. To ze strachu nie wysłałam odpowiedzi na konkurs. Zawsze mam tyle wątpliwości.

- Ale chcesz jechać, prawda? - Hildegarda nie dawała za wygraną.

Czy chciała? Na tym polegał paradoks jej życia, że mimo wszystkich zahamowań i lęków Cammie Jo marzyła o wielkiej przygodzie. Że rozpaczliwie pragnęła być śmiała i dzielna, choć w głębi duszy była zahukaną ofermą. To rozdarcie bardzo jej doskwierało.

Ciotki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Pora jej powiedzieć - mruknęła Coco.

- Powiedzieć mi o czym?

- O magicznym naszyjniku - odparła Hildegarda i zwróciła się do Coco. - Masz rację. Przynieś amulet.

Cammie Jo milczała, gryząc dolną wargę, dopóki Coco nie wróciła z szarą metalową szkatułką i kluczykiem.

- Kiedy twoja mama zdała sobie sprawę, że nie pokona raka - powiedziała szeptem Hildegarda - dała nam na przechowanie ten naszyjnik, ale musiałyśmy jej obiecać, że nie dostaniesz go, dopóki nie będziesz wystarczająco dojrzała, żeby posługiwać się magią.

- Jaką magią? - Cammie Jo nie rozumiała.

- Otwórz szkatułkę. W środku jest list od twojej mamy.

Drżącymi palcami uchyliła wieczko i wbiła wzrok w naszyjnik z kościanych koralików z paskudną totemiczną figurką.

- O rany... - W pierwszym odruchu Cammie Jo odczuła potrzebę umycia rąk. - To jest...

- W złym guście. Wiemy. Ale wulgarność i brzydota amuletu nie mają nic do rzeczy. - Ciotka Kiki położyła rękę na jej ramieniu. - Przeczytaj list.

Cammi Jo rozłożyła pożąłką kartkę. Na widok delikatnego pisma mamy wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

*Moja najdroższa kochana córeczko!*

*Skoro czytasz ten list, to znaczy, że wiele lat upłynęło od czasu, kiedy trzymałam cię w ramionach.*

*Przekazuję ci jedyną cenną rzecz, jaką mam. Ta totemiczna figurka posiada magiczną moc, której nie sposób wyjaśnić rozumem. Prosiłam twoje ciotki, żeby przekazały ci ten naszyjnik, dopiero gdy będziesz w wystarczająco dojrzałym wieku, żeby wiedzieć, czego naprawdę pragnie twoje serce.*

*Czegokolwiek sobie zażyczysz, spełni się, jednak pod pewnymi warunkami. Możesz wypowiedzieć tylko jedno życzenie na całe życie, musisz mieć wówczas naszyjnik na sobie i nie możesz zdradzić nikomu tego sekretu.*

*Lekarze powiedzieli mnie i twojemu ojcu, że nigdy nie będziemy mogli mieć dzieci. Wykorzystałam ten amulet, by poprosić o piękne, zdrowe dziecko, i zobacz, co dostałam! Było warto.*

*Zastanów się głęboko i bez pośpiechu nad swoim życzeniem, a potem je wypowiedz. Uwierz mi, kochanie, a świat będzie twój.*

*Kocham cię! Mama*

Połykając łzy, Cammi Jo przeczytała list trzykrotnie.

- O mój Boże - wyszeptała w końcu i obróciła w dłoni naszyjnik.

Jej matka nosiła tę dziwną biżuterię, wierzyła w jej magiczną moc. A jeśli amulet pomógł mamie, może pomóc i jej. Cammi Jo wyprostowała się, jeszcze raz westchnęła i włożyła naszyjnik.

Magiczna figurka zawisła między jej piersiami i dziwne ciepło - jak gdyby ten przedmiot leżał na słońcu, a nie był przechowywany piętnaście lat w metalowej kasetce - ogrzało jej skórę poprzez tkaninę bluzki.

- Czy mam teraz pomyśleć życzenie?

- Nie! - wykrzyknęły chórem ciotki.

- Poczekaj, nie spiesz się - ostrzegła Hildegarda. - Dopóki nie będziesz absolutnie pewna, czego chcesz najbardziej, nie korzystaj z amuletu. Kiedy już wypowiesz życzenie, nie będzie odwrotu.

- Pamiętaj, nikomu nie możesz powiedzieć o amulecie, bo wtedy straci magiczną moc. - Ciotka Coco pogroziła jej palcem.

- I nie zapomnij - przypomniała Kiki - o ostrożności. - To, czego sobie zażyczysz, na pewno się spełni.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Pierwszy raz na Alasce? - spytał Mack McCaulley, żeby nawiązać jakąś rozmowę.

Koniec czerwca, cudowne wtorkowe popołudnie, dwadzieścia siedem minut po trzeciej i od kwadransa byli w powietrzu, a jego pasażerka nie odezwała się jeszcze ani słowem. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest niemową.

Drobna młoda kobieta siedząca obok, w jego wodnopłatowcu Beaver, który na cześć swojej ukochanej babci nazwał „Edna Marie”, poruszyła głowę.

W ubraniu stosownym na zimową wyprawę antarktyczną - w grubym golfie, wełnianym toczku na głowie, z postawionym kołnierzem palta - jej mała okrągła twarz była ledwie widoczna. A jeśli czegoś nie zasłaniał strój, robiły to grube okulary.

I oczywiście nikt by nie zgadł, jaka figura kryje się pod tyloma warstwami ubrań. Nie żeby Mack był zainteresowany...

Mogła być raczej w typie Caleba. Spokojna, rozważna introwertyczka. Mackowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że jest zbyt bojaźliwa, żeby osiąść na Alasce. Przynajmniej on tak uważał. Od przyszłej towarzyski

życia wymagał przede wszystkim hartu ducha, a ta kobieta miała odwagę zająca.

Kiedy odebrał ją z lotniska w Anchorage, trzęsła się jak galareta. Do jego samolotu wchodziła pomalutku, niezdarnie, łapiąc się wszystkich możliwych uchwytów jak tonący brzytwy. A gdy uspokajającym gestem położył rękę na jej ramieniu, wzdrygnęła się i wyjąkała coś niezrozumiale.

Zupełnie jakby chciał ją zgwałcić! Może powinien jej uświadomić, że rozdygotane panienki nie są w jego typie.

Przez kilka minut po starcie siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę i zaciśniętymi kurczowo palcami.

- Uhm - odezwała się tak cicho, że Mack musiał przechylić głowę w jej stronę. A zbierała się tak długo do odpowiedzi, że omal już zapomniał, o co pytał.

Na szczęście nie wszystkie kobiety, które pojawiły się w Bear Creek po ukazaniu się tego sławetnego ogłoszenia matrymonialnego w „Metropolitarnie”, były tak niekontaktowe. Mack uśmiechnął się na wspomnienie poprzedniej pasażerki. Ruda seksbomba wcisnęła mu do dłoni kartkę z numerem telefonu komórkowego i wyszeptała: „Zadzwoń do mnie”.

Tak, tamta wyglądała na prawdziwą amatorkę przygód.

Mack odetchnął głośno. Jedno było pewne: dla niego i jego trzech przyjaciół zapowiadało się bardzo, bardzo gorące lato.

No... może dla dwóch przyjaciół. Quinn był już zajęty. Poszedł na całość, z dobrym skutkiem. Oczarował i zdobył Kay Freemont, piękną reporterkę, która miała opisać historię kawalerów z Alaski dla magazynu „Metropolitan”.

Szczęściarz...

Mack marzył teraz o tym, żeby jak najszybciej zostawić swoją niemrawą pasażerkę w pensjonacie Jake'a i wrócić do Anchorage po kolejną grupkę panien na wydaniu. Jego następnymi klientkami miały być członkinie żeńskiej korporacji studenckiej z uniwersytetu w Las Vegas. Na pewno były o niebo żywsze od tej tutaj!



Nie wyobrażał sobie życia z ospałą, nijaką kobietą. Marzyła mu się pełna fantazji, energiczna żona, która całym sercem pokocha Alaskę i szybko przywyknie do tutejszych warunków. Kobieta, która pokocha długie mroczne zimy i gorące, słoneczne lata.

Mack po prostu uwielbiał silne i energiczne kobiety.

W kieszeni nosił listę wszystkich cech, którymi powinna się charakteryzować jego przyszła żona. Ta lista przypominała mu, żeby nie dał się zwieść ładnej buzi ani seksownemu ciału, bo najważniejsze jest wnętrze. Jako ostatni męski potomek McCaulleyów Mack poważnie myślał o małżeństwie i dzieciach. I dokładnie wiedział, czego chciał.

- Ale moja mama urodziła się na Alasce - panna Strachajło wyszeptała po tak długiej chwili milczenia, że aż podskoczył, kiedy wreszcie dobyła z siebie głos. - Była pilotem jak ty.

- Naprawdę? - O mało się nie zachłysnął. - Skąd pochodzi twoja mama?

- Z Fairbanks.

To tłumaczyło jej ubiór. W Fairbanks, bliżej koła polarnego, było znacznie zimniej niż w południowym regionie Alaski.

- Aha... - Uśmiechnął się.

Biedactwo. Trochę było mu jej szkoda. Podejrzewał, że gdyby głośno krzyknął, zemdlałaby z przerażenia.

- Dlatego marzyłam o tej podróży.

- Mama pozwoliła ci tu przyjechać samej? - Przysięgłby, że miała nie więcej niż szesnaście lat.

- Moi rodzice zmarli, kiedy byłam dzieckiem.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Nie wiedziałeś.

- Chcesz powiedzieć, że zmarli jednocześnie?

- Nie. Tata zginął w wypadku samochodowym, kiedy miałam sześć lat.

- To musiało być straszne.

- Tak. Mama z rozpaczy zupełnie przestała o siebie dbać. Lekarze nie chcieli przyznać, że to przez to, że straciła miłość swojego życia, zaatakował ją rak, ale ja wiem swoje. Moi rodzice byli dla siebie wprost stworzeni. Mama zrezygnowała nawet dla taty z ukochanej Alaski i zawodu pilota.

- Musiała być niesamowitą kobietą. - Szkoda, pomyślał, że córka nie odziedziczyła po niej ikry.

- Była.

- Jesteś sierotą.

- Wychowywały mnie trzy kochające ciotki, tak naprawdę cioteczne babki. Więc nigdy nie czułam się jak sierota, ale brakuje mi mamy.

- To dobrze... to znaczy dobrze, że nie jesteś całkiem sama.

Jezu, gadał jak kretyn. Całe szczęście, że panna Strachajło nie była w jego typie. Skreśliłaby go po kilku takich błyskotliwych komentarzach, i miałyby rację.

- A ty? - wydusiła szeptem. - Twój rodzice żyją?

- Ojciec zmarł rok temu. A matka? - Wzruszył ramionami, nie mając ochoty rozmawiać o swoim dzieciństwie. - Zostawiła mnie z ojcem, kiedy miałem osiem lat. Nie mogła przywyknąć do tutejszych zim. Mieszka w Georgii z mężem numer pięć albo sześć, straciłem rachubę.

- Widujesz się z nią?

- Rzadko. Ona nienawidzi Alaski. Mówi, że dzikość ją przeraża. - Przewrócił oczami. - Ale w żadnych warunkach nie jest zbyt stała w uczuciach.

- Może jest samotna i powinieneś wyciągnąć do niej rękę.

- Ooo tak! Codziennie jest zapraszana na inne przyjęcie, więc chyba jednak nie wyje z samotności. - Spojrzał na nią kątem oka. - Zabawne, wyglądasz na zbyt nieśmiałą, żeby mieć skłonność do wścibstwa.

- Nie... nie mam. To znaczy... a niech to... daleko jeszcze do Bear Creek?  
- wybąkała.

Kompletnie zbił ją z tropu. Nieładnie, zwłaszcza że tak trudno przychodziła jej rozmowa. Jednak nie chciał wdawać się w dyskusje o swojej byłej matce.

- Około pół godziny - odpowiedział łagodnie. - A przy okazji, mam na imię Mack. Mack McCaulley.

- Wiem, kim jesteś. Widziałam twoje zdjęcie w „Metropolitarnie”.

- Ach, to nieszczęsne ogłoszenie.

Spojrzała na jego tors, przypominając sobie, jak nieprzyzwoicie seksownie wyglądał na tym przeklętym zdjęciu, i w jednej sekundzie jej policzki oblały się ciemnym szkarłatem.

- Masz przewagę, bo ja znam tylko twoje nazwisko. - Zerknął na leżący między nimi dziennik pokładowy.

- Jak ci na imię?

- Cammie Jo.

Powiedziała Tammie Jo? Nie był pewien, miała taki cienki głosik, ale imię do niej pasowało. Staromodne, słodkie, niewinne. Ni stąd, ni zowąd opanowała go przedziwna chęć otoczenia tej dziewczyny ramieniem, żeby chronić ją przed wielkim złym światem.

- Miło cię poznać.

- Wzajemnie. - Uśmiechnęła się i po raz pierwszy wytrzymała jego spojrzenie, choć tylko przez moment.

Zaczęli zbliżać się do łańcucha górskiego okalającego Bear Creek i Mack skupił uwagę na sterze. Jak większość licznych gór na Alasce i te nie miały oficjalnej nazwy, ale miejscowi nazywali je Tlingit Peaks, od plemienia, które zamieszkiwało kiedyś te ziemie.

Skierował w dół dziób samolotu, gdy zdawało się, że majestatyczne skalne kolosy w śnieżnych czapach są tuż-tuż. Przerażona Cammie Jo zachłysnęła się głośno powietrzem i zacisnęła powieki.

- Boisz się latać małymi samolotami?

- Dużymi też.

Konieczna była silna dawka naparu rumiankowego ciotki Hildegardy i taśma z nagraniem medytacyjnym, żeby odważyła się na poranny lot z Austin do Dallas, a potem do Anchorage. Gdyby nie zależało jej tak bardzo na zobaczeniu Alaski, za nic nie postawiłaby stopy na pokładzie żadnej maszyny latającej.

W dodatku samoloty nie były jedyną rzeczą, która przerażała Cammie Jo. Najwyżej notowana pozycja z jej listy fobii? Prowadzenie rozmowy towarzyskiej z przystojnym nieznajomym. Zwłaszcza jeśli dodatkowo był to obiekt jej marzeń i fantazji.

Przebywanie z nim sam na sam przerażało ją, ale i podniecało. Czy spośród wszystkich pilotów na Alasce musiała trafić akurat na niego?

Nie miała oczywiście najmniejszego zamiaru konkurować z innymi kobietami, którym marzyło się zaciągnięcie go do ołtarza. Przez tę swoją chorobliwą nieśmiałość bała się, że nigdy nie znajdzie prawdziwej miłości, nie pójdzie w tym względzie w ślady rodziców.

Boże, jak bardzo chciałyby się odważyć na flirt z tym przystojniakiem!

Ha! To byłby dopiero cud.

Wiedziała, że nie zrobiła na Macku żadnego wrażenia. Nigdy nie robiła wrażenia na mężczyznach. Na lotnisku, kiedy podeszła do niego - przystojniaka trzymającego nad głową tablicę z jej nazwiskiem - ledwie rzucił na nią okiem.

A magiczny amulet spoczywający na dnie jej torebki? A jeśli ten naszyjnik rzeczywiście posiada magiczną moc? Mogłaby wypowiedzieć każde życzenie. Prosić, o co tylko zechce.

O odwagę.

Męża.

Prawdziwą miłość.

Życzenia nie spełniają się tak łatwo, Cammie Jo. Nie ma dowodu na to, że naszyjnik od mamy jest czymś więcej niż ozdobą, starym przedmiotem pobudzającym wyobraźnię.

Żadnego dowodu, poza listem, który napisała do niej jej matka na łożu śmierci.

W tej chwili Cammie Jo bardzo chciała uwierzyć w magiczne moce.

Spojrzenia Macka rozstrajały ją. Właściwie wszystko, co się z nim wiązało, niezmiernie ją peszyło.

Jego wyraźny męski zapach, bo przywykła do delikatnych kobiecych zapachów lawendy, bzu albo róży. Jego chropawy męski głos, bo jej uszy były zaprogramowane na słodkie szczebioty trzech ciotek. I jego pociemniała od świeżego zarostu szczeka; no nie, ten atrybut męskości miała też ciotka Kiki, o ile nie stosowała regularnie kremu depilującego.

W każdym razie pilot Mack był dla niej istotą z obcej planety, z tymi swoimi mocnymi nadgarstkami, muskularnymi ramionami, rozwichrzoną ciemną czupryną i dumnym orlim nosem. W jego obecności Cammie Jo dygotała jak króliczek na zlocie puchaczy.

Odwróciła głowę, żeby wyrzeć przez okno, ale bliskość gór w połączeniu z faktem, że lecieli tak małym samolotem, wyprowadzała ją z równowagi nie mniej niż siedzący przy niej mężczyzna. Zmieniła pozycję i próbowała skrzyżować nogi, co w tyłu warstwach zimowej odzieży, którą miała na sobie, było niełatwym zadaniem - i niechcący straciła z deski rozdzielczej słuchawkę radiotelefonu.

- O mój Bo... Przepraszam! - Sięgnęła po słuchawkę w tym samym momencie co Mack i ich głowy zderzyły się ze sobą.

- Au! - jęknął donośnie.

- Au, au, au! Przepraszam... - Rozcierając bolące miejsce, machinalnie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć czerwonego, rosnącego w oczach guza na jego czole, ale Mack zrobił unik.

- Nic się nie stało - odburknął i utkwiał wzrok w jakimś punkcie za szybą kabiny.

Umierając ze wstydu, wbiła się w oparcie siedzenia.

Pamiętaj, po co tu przyjechałaś, łajała się w duchu. Nie po miłość, nie po to, żeby romansować ani polować na męża, tylko zmierzyć się ze swoimi lękami, odwiedzić krainę, w której urodziła się twoja matka i przeżyć wielką przygodę.

A jeśli nie była w stanie zmierzyć się ze swoimi największymi zmorami?

Cammie Jo zdrętwiała. Czekala ją samotność do końca życia, w tym samym starym domu w Austin, uczenie w college'u i usychanie z żalu za tym, co mogło się zdarzyć.

Nie. Nie zamierzała chować się dalej przed życiem. Co z tego, że się trochę zbłądziła przed niesamowicie przystojnym pilotem hydroplanu? Wielka sprawa. Była w stanie to przeżyć. I nie musiała trząść się przed nim jak galareta.

Może nie była wcieleniem seksu, odwagi i kobiecego wdzięku, ale z pewnością nadrabiała poziomem inteligencji i osiągnięciami naukowymi. Swoją drogą, kim tak naprawdę był ten facet? Taki pewny siebie, taki twardy. Ani neurochirurgiem, ani fizykiem atomowym. Czy pilotowanie to taka wielka sztuka? Właściwie gdyby pozbyła się lęku przed lataniem, też mogłaby zostać pilotem, gdyby tylko chciała.

O tak, cholernie łatwo być odważnym we własnej wyobraźni.

Co innego wcielić te marzenia w życie.

Zrób coś odważnego, wyrzyj przez okno, pooglądaj krajobraz. Wyobraź sobie, że pilotujesz ten samolot.

Cammie Jo zmusiła się do spojrzenia w boczne okno i natychmiast tego pożałowała.

Góry były tak blisko i wydawało się, że Mack leci prosto na nie.

Ledwie oddychała i czuła pulsowanie krwi w uszach.

Nie odwróczę się. Nie zamknę oczu. Nie, nie, nie. Jestem odważna. Jestem silna, jestem nieugięta. Jestem nieustraszoną Camryn Josephine.

Dziób samolotu ustawił się do nurkowania. Skrzydła zaczęły drżeć. Cammie Jo wybałuszyła oczy.

Czy to normalne?

Zerknęła na Macka. Wyglądał na spokojnego, jakby wszystko było pod kontrolą. Ale niby jak miał wyglądać? Był pilotem i nie okazałby, że coś jest nie tak.

Samolot schodził niżej i niżej, szybkim nurkującym lotem, aż znaleźli się nad małą doliną, schowaną między potężnymi górami. Cammie Jo gapiła się na panel sterowniczy, na którym jakiejś ustrojstwo wirowało w oszalałym tempie.

Opanuj się.

Ale nie mogła. Żołądek podchodził jej do gardła. Od zbocza góry dzielił ich może kilometr. Widziała drzewa, różne inne rośliny i... ojej, czy to nie była kozica?

Ciągle w dół, niżej, niżej, prawie pionowo. To nie może być normalne, myślała w panice. Coś musiało nawalić.

Zacisnęła ręce w pięści, ze wszystkich sił próbując nad sobą zapanować, ale nie wyszło.

Nie! Rozbijemy się! Ratunku! Pomocy! Och, nie, nie chcę umrzeć jako dziewczica.

Oszalała ze strachu, Cammie Jo obróciła się w fotelu, odpięła pas bezpieczeństwa i runęła głową na kolana Macka. W głowie miała pustkę.

Po kilku sekundach, kiedy samolot wyrównał lot i stało się jasne, że nie doszło do katastrofy, Cammie Jo zdała sobie sprawę, że leży z twarzą przyciśniętą do krocza obcego mężczyzny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy mogę być ci w czymś pomocny, skarbie? - wyrzeźił przez zaciśnięte gardło, ledwo powstrzymując się od śmiechu.

Głowa Cammie Jo gwałtownie podskoczyła w górę, równie gwałtownie, jak chwilę wcześniej opadła.

- Ja... eee... umm... yyy... ja... - bełkotała nieskładnie, a jej policzki były tak gorące, że można by na nich usmażyć jajko.

Z desperacją w oczach odwróciła się, zapięła pas i wbiła wzrok w czubek swojego buta.

- Bear Creek robi silne wrażenie na większości turystów, zwłaszcza nad tą przełęczą podczas schodzenia w dół. Niektórzy wzdychają, inni zaśmiewają się z radości. Muszę przyznać, że nikt dotąd nie zareagował, jak ty.

Była przerażona tym, co zrobiła. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła kiedykolwiek spojrzeć mu w oczy. Jedynym wyjściem było przeczekanie reszty wakacji w pensjonacie, a potem powrót z innym pilotem do Anchorage. Ukryła twarz w dłoniach.

- Tutaj zawsze schodzimy ostro w dół - powiedział, tym razem całkiem serio. - Powinienem był cię uprzedzić, przepraszam.

A niech to! Teraz jej żałował. Nie wiedziała, co gorsze - być obiektem kpin czy litości.

- Lądujemy na wodzie. Uprzedzam na wszelki wypadek.

Cammie Jo rozczapierzyła palce i spojrzała w dół na małe miasteczko otaczające zatokę. Przy drewnianych pomostach przystani cumowało kilka statków wycieczkowych i zatrzęsienie różnych wodopłatów. Zauważyła łodzie poławiaczy łososi, kajaki przedzierające się przez węższe dopływy i żagłówki, z gracją sunące wzdłuż tafli zatoczki.



Zapomniała nawet o strachu, kiedy Mack robił drugie okrążenie. Na szczęście Cammie Jo przewyciężyła wstyd i jego miejsce zajęła ciekawość. Opuściła ręce, żeby mieć lepszy widok. Przyglądała się rządowi schludnych wiejskich domów.

Bear Creek było piękne.

Ogarnęło ją wzruszenie. Dziwne, niespodziewane poczucie przynależności. Mimo że nie urodziła się tutaj, mimo że nie postawiła jeszcze nogi na tej ziemi, matczyne opowieści do poduszki o cudownej Alasce nagle wróciły jak żywe.

Czuła się, jakby wróciła do domu.

Moja pierwsza przygoda, myślała ze zdumieniem. Moja pierwsza najprawdziwsza przygoda!

Gdyby tylko znalazła w sobie dość odwagi, żeby wybrać się na przejażdżkę kajakiem albo na połów łososi, może nawet przyłączyłaby się do jakiejś grupy turystów idących w góry...

Mack wylądował na środku zatoki. Jakiś kilkunastoletni chłopak czekał na przystani, żeby zacumować samolot, potem pomógł Cammie Jo wysiąść i wyjął z luku bagażowego jej torby.

- Tędy, proszę pani - powiedział z uśmiechem.

- A ty nie idziesz? - Cammie Jo spojrzała na Macka.

- Muszę odebrać z Anchorage następnych pasażerów. Jimmy Jones zawiezie cię do pensjonatu.

- Aha. W takim razie... do widzenia.

Czy powinna podać mu rękę? Może dać napiwek? Nim odstawiała na bok torby, Mack odwrócił się do samolotu.

W ułamku sekundy wyparowała z niej cała radość. Więc miał ją z głowy. Tak po prostu: co z oczu, to z myśli.

- Proszę pani? - Młody człowiek, niosący jej najcięższy bagaż do żółtego turystycznego pojazdu z napisem „Taxi” na drzwiach, wciąż się uśmiechał. - Proszę za mną.

Okej, w porządku, łaski bez. Nie potrzebowała Macka McCaulleya do tego, żeby zwiedzić miasto. Gotowa była udowodnić sobie i całemu światu, że doskonale poradzi sobie sama. W końcu o to zwykle chodzi w wielkich przygodach.

Tak czy nie?

Objuczona, ledwie doczłapała do zejścia z pomostu. Jej torby były cholernie pękate i w końcu potknęła się o wystającą deskę. Sam upadek był prawie bezbolesny - chroniły ją liczne warstwy ubrań - ale chichot kilku innych pasażerów, którzy czekali na nią w taksówce, uraził jej dumę.

A gdy obejrzała się w tył przez ramię, zobaczyła, że Mack nie tylko był świadkiem jej kolejnego upokorzenia, ale kręcił z politowaniem głową... Łzy nabiegły jej do oczu. Mrugając, żeby je powstrzymać, poprawiła okulary.

Jestem twarda. Jestem twarda. Jestem twarda, powtarzała w myślach niczym zaklęcie. Wiedziała jednak, że to wszystko na nic.

Jimmy, gdy tylko zobaczył, co się stało, ruszył jej z pomocą, ale było za późno. Nawet ta odrobina odwagi, którą zdołała z siebie wykrzesać, wyparowała, podobnie jak wcześniejsza euforia. A gdy znalazła się w taksówce - obok czterech innych kobiet, tak pięknych, że wszystkie nadawały się na okładkę „Metropolitana” - nastrój Cammie Jo sięgnął dna.

Nieznajomym jakoś nie przyszło do głowy się przedstawić. Ona nie czuła się na siłach, żeby zagaić rozmowę, usiadła więc wygodnie, zamknęła oczy i przez kilka minut drogi do pensjonatu Jake'a Gerarda udawała, że śpi. Zresztą nikt nie zwracał na nią uwagi.

W holu recepcyjnym aż gęsto było od atrakcyjnych młodych kobiet i zabawiających je rozmową niewiarygodnie przystojnych mężczyzn. Jej nikt nie zauważył. Poczowała się jak stara dziurawa skarpetka wepchnięta do szuflady z

seksowną bielizną. I przypomniała sobie natychmiast, dlaczego tak rzadko się odważała wychylić nos poza świat uniwersytetu.

Cammy Jo podeszła do recepcji. Rozpoznała w mężczyźnie za kontuarem jednego z kawalerów do wzięcia. Był jeszcze przystojniejszy niż na fotografii. Uśmiechnął się do niej.

- Cześć, jestem Jake.

W popłochu zaczęła szukać potwierdzenia rezerwacji. Cholera! Nie powinna mieć w torbie takiego śmietnika. Przełożyła na bok szczotkę do włosów i portfel. I jeszcze ten paskudny amulet...

- Co to jest?

Wytracona z równowagi udała, że nie wie, o co mu chodzi.

- Och... paczka miętowych dropsów.

- Nie to. - Wyraźnie wskazał palcem naszyjnik.

- Balsam do ust...

- Nie, nie, chodzi mi o tamten przedmiot.

- Który przedmiot? - Kiedy wszystko zawodzi, pozostaje udawać głupiego.

Jake wlepił oczy w jej amulet.

- No, no... To mi wygląda na aleucki totem płodności. Chwyliła naszyjnik i żeby usunąć go z pola widzenia

Jake'a, wcisnęła paskudztwo do kieszeni.

- Obchodź się z tym ostrożnie - powiedział serio, a potem puścił do niej oko. - Totemy płodności mają magiczną moc.

Kiedy zdała sobie sprawę, że on z nią flirtuje, spuściła głowę i jeszcze przez dobrą chwilę trzęsącymi się rękami grzebała w torbie, zanim znalazła i podała mu właściwą kartkę.

- Witaj w Bear Creek, Camryn Josephine! Będzie nam bardzo miło cię gościć. Gratuluję zwycięstwa w konkursie. - Jake podał jej klucz. - Masz najlepszy pokój. Numer dwanaście.

- Dziękuję - mruknęła.

- Aha, gdybyś chciała się zapisać na jakieś wycieczki, daj mi znać.

„Metropolitan” pokrywa wszystkie rachunki.

- Wycieczki?

- No wiesz, połów łososi, rajdy rowerowe. Chociaż... - zlustrował ją wzrokiem - może wolałabyś coś mniej forsownego. Na przykład na jutro przewidziane jest zwiedzanie z przewodnikiem Tongaskiego Parku Narodowego. Wybierzesz się?

- Tak... chyba tak. - Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju i ochłonać po tych wszystkich wrażeniach.

- Świetnie. Wpiszę cię na listę.

Z oczami wbitymi w podłogę przecisnęła się przez grupkę ludzi zebranych przy schodach. Szła wolno korytarzem, szukając pokoju numer dwanaście, kiedy zobaczyła psa.

Syberyjski husky.

Cammie Jo przystanęła, wstrzymując oddech.

Uwielbiała psy, ale z powodu alergii ciotki Coco nigdy nie miała własnego zwierzaka. Wypuściła z rąk torby i przykucnęła.

- No chodź, chodź tu...

Niemal w tej samej chwili pies był przy niej i bez oporu dał się pogłaskać.

- Widzę, że już poznałaś psa Jake'a. Ma na imię Lulu.

Nie słyszała, żeby ktoś się zbliżał. Podniosła głowę i zobaczyła nad sobą uśmiechniętego Macka. Jej serce natychmiast oszalało. Powiedz coś, głupia. Ale język przyrósł jej do podniebienia i nie była w stanie wymyślić żadnego inteligentnego zdania. I co z tego, że była członkinią Mensy. Cała w nerwach, wśliznęła do kieszeni rękę i pogładziła amulet.

Chciałabym mieć odwagę, tyle odwagi, żeby móc normalnie rozmawiać z przystojnymi facetami.

Mack ukucnął obok i podrapał Lulu za uszami.

Lulu zamruczała w ekstazie.

Pochylił się do przodu, zderzając się kolanem z kolanem Cammie Jo.

Gdyby nie cofnął się natychmiast, sama zaczęłaby mruczeć.

Sap, sap, sap.

Jej prawa ręka głaskała psi brzuch. Lewa ręka Macka drapała Lulu pod pyskiem. Przechylił na bok głowę i uśmiechnął się w przyćmionym świetle korytarza.

- Jest piękna - odważyła się powiedzieć Cammie Jo.

- Stara wielka złodziejka. - W głosie Macka brzmiała nieklamana sympatia.

- Ona? Niemożliwe, jest taka słodka.

- Nie daj się zwieść jej spojrzeniu i nie zostawiaj na wierzchu żadnych cennych rzeczy. Lulu jest kleptomanką.

- Na pewno przesadzasz.

- Nie. Kradnie wszystko, co zdoła wziąć do pyska. Bizuterię, cukierki, skarpetki, długopisy, kluczyki samochodowe.

Lulu zaskomlała i zrobiła minę niewiniątka, jakby chciała powiedzieć: „Zostałam wrobiona”.

- Tak, tak, mówimy o tobie. - Mack wstał i oparł się nonszalancko bokiem o ścianę.

Cammie Jo zerknęła w górę i zdała sobie sprawę, że ma wzrok na wysokości suwaka jego džinsów. Speszona, zerwała się na równe nogi. Ich oczy się spotkały.

- Eee... Właściwie co ty tu robisz? Miałeś odebrać z Anchorage następnych pasażerów.

- Owszem.

- Więc... dlaczego jesteś tutaj?

- Znalazłem coś pod siedzeniem dla pasażera. Pomyślałem, że to mogło wypaść z twojego bagażu.

- Tak... ? A co to takiego?

Wyjął z kieszeni skrawek szkarłatnego jedwabiu i rozłożył go na dłoni. Stringi. Maleńkie figi na sznureczkach.

Jak kobiety mogą nosić coś tak idiotycznego? Wzdrygnęła się na samą myśl, że miałyby chodzić, choćby tylko przez godzinę, z jakimś sznurkiem między pośladkami.

- Chociaż - ciągnął - ten typ bielizny raczej nie jest w twoim stylu. Może to należało do mojej poprzedniej pasażerki. Czuję się jak księżę z bajki chodzący od drzwi do drzwi w poszukiwaniu Kopciuszka, na którego pasowałyby te majteczki.

Normalnie byłaby strasznie zakłopotana, ale wyraz zadowolenia na jego twarzy zirytował ją do tego stopnia, że nagle coś w niej pękło. Skoro miał taką absolutną pewność, że była nudna i staroświecka, że nigdy by czegoś podobnego nie włożyła (oczywiście, że nie, ale on nie miał prawa zakładać tego z góry) - Cammie Jo postawiła wszystko na jedną kartę.

- Tak, są moje.

Zdziwienie na jego twarzy sprawiło, że poczuła coś, czego nie czuła nigdy dotąd. Śmiałość? Nie, coś znacznie więcej, coś bliższego zuchwalstwu.

Oparła rękę na biodrze. Mack śledził oczami jej ruchy. Patrzył tak intensywnie, jakby próbował ją sobie w tych sznureczkach wyobrazić.

Cammie Jo uniosła brodę i wbiła wzrok w punkt tuż ponad jego głowę. Nauczyła się tej sztuczki, gdy zaczęła prowadzić wykłady na studiach magisterskich. Unikaj kontaktu wzrokowego i dasz sobie radę.

- A co myślałeś? Że noszę białe bawełniane gacie do pasa, jak stara baba?

Dokładnie takie miała na sobie. Ciotka Hildegarda dwa razy do roku kupowała wszystkim bieliznę na wyprzedaży, a Cammie Jo nigdy specjalnie nie zależało, żeby pomyśleć o czymś bardziej wykwintnym. Ale wolałyby umrzeć, niż przyznać się do tego Mackowi.

- Tego nie powiedziałem.

Do jego głosu wkradło się wahanie i w tym momencie Cammie Jo była już w stanie nazwać to wzbierające w niej nowe uczucie. Niesamowite, ale poczuła się odważna i pewna siebie. I rozpierała ją duma.

- Wiem, że ocenia mnie pan po wyglądzie, panie McCaulley, ale pozory mylą. Cicha woda brzegi rwie.

- Najwidoczniej. - Wydawał się trochę zaskoczony.

- To tylko wierzchołek góry lodowej.

- Ach tak?

- Właśnie tak.

- No dobrze. Wierzę ci. To twoje majtki. Zagadka rozwiązana.

- Coś jeszcze?

- Nie... To chyba wszystko.

Dopiero później, kiedy odszedł leniwym krokiem, Cammie Jo zdała sobie sprawę, skąd wzięła się ta jej niespodziewana brawura.

Magiczny amulet w kieszeni jej kurtki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy już zaszyła się bezpiecznie w swoim pokoju, pozbyła się kilku warstw ubrania i usiadła przy oknie wychodzącym na główną ulicę miasteczka.

Ludzie tłoczyli się na chodnikach, mijali się w drzwiach sklepów i restauracji. Zupełnie nie spodziewała się takiego ruchu. Tłumy wyprowadzały ją z równowagi.

Ciebie wszystko wyprowadza z równowagi, ofuknęła się w duchu. Na przykład przystojni piloci z Alaski.

Raptowne pukanie poderwało ją na nogi.

Mack?

Wstrzymując oddech, Cammie Jo na palcach podeszła do drzwi. A niech to! Ani wizjera, ani łańcucha.

Ostrożnie nacisnęła klamkę i wyjrzała na korytarz. Olśniewająco piękna kobieta, z długopisem i notatnikiem w ręku, uśmiechnęła się na powitanie.

- Cześć.

- Cześć...

- Jestem Kay Freemont z magazynu „Metropolitan” i to ja wybrałam najciekawszą odpowiedź na pytanie konkursowe. Chciałabym przeprowadzić z tobą wywiad, jeśli pozwolisz.

- Och... Proszę, wejdź. - Cammie Jo wpuściła Kay do środka i zamknęła za nią drzwi. - Przyleciałaś aż z Nowego Jorku, żeby zrobić ze mną wywiad?

- Nie. - Szeroki uśmiech Kay zmarszczył kąciki jej brązowych oczu. Choć wyglądała bardzo światowo i wytwornie, zdaniem Cammie Jo miała niewiele więcej niż dwadzieścia pięć lat. Prawdopodobnie były rówieśnicami.

- Od niedawna mieszkam w Bear Creek.

Cammie Jo wskazała jej krzesło przy oknie, czując się dość niezręcznie w roli gospodyni. Zerknęła na naszyjnik, który specjalnie odłożyła na toaletkę po



niebezpiecznie ekscytującym spotkaniu z Mackiem w holu. Nie była pewna, czy jest gotowa ponosić ryzyko noszenia przy sobie tego magicznego przedmiotu.

- Dziękuję. - Kay zajęła jedyne krzesło, a Cammie Jo przysiadła na samym brzegu łóżka. - Nie denerwuj się.

- Uśmiech Kay stał się jeszcze cieplejszy. - To nie będzie ani trochę bolało. Obiecuję.

- Nigdy dotąd nie byłam poza domem.

- Alaska może robić szokujące wrażenie nawet na doświadczonych podróżnikach. Ja przyjechałam tu po raz pierwszy w lutym. Coś niesamowitego... - Pokręciła głową. - Więc powiedz mi, Cammie Jo, dlaczego jesteś zainteresowana wyjściem za mąż akurat tutaj? Naprawdę chciałabyś spędzić życie na dzikiej Alasce?

- Słucham?

- Wzięłaś udział w konkursie w nadziei, że spotkasz tu mężczyznę swoich marzeń, prawda? Chociaż musisz wiedzieć - dodała z śmiechem - że w ofercie nie ma już Quinna. - Podniosła lewą dłoń, żeby pochwalić się pierścieniem zaręczynowym. - Za miesiąc się pobieramy.

- To wspaniale!

- Aha. - Kay zniżyła głos. - A który z kawalerów jest w twoim typie?

- Czy mogę być z tobą szczerą?

- Oczywiście.

Długo rozmawiały. Cammie Jo opowiedziała o trzech ciotecznych babkach, które trzymając ją pod kloszem, sprawiły, że wyrosła na dzikuskę bojącą się własnego cienia.

- Wyjście za mąż jest ostatnią rzeczą, która mnie interesuje - powiedziała.

- Muszę rozwinąć skrzydła i nauczyć się latać. Chcę odkryć, kim jestem, zanim pomyślę o małżeństwie. Mam nadzieję, że to mnie nie dyskwalifikuje jako zwyciężczyni konkursu...

- Ależ skąd. Twoje motywacje są twoją sprawą. Wygrałaś uczciwie, a że nie jesteś zainteresowana żadnym z tutejszych kawalerów? Przeżyją, spokojna głowa. Po ukazaniu się naszego artykułu kobiety zaczęły zjeżdżać do Bear Creek całymi hordami. To taka współczesna gorączka złota, tyle że zamiast złota poszukiwani są wolni mężczyźni.

Fakt. Cammie Jo sama widziała tłumy kobiet na ulicach miasteczka.

- Nasi chłopcy do wzięcia, do spółki z redakcją magazynu, wydają dziś przyjęcie w domu kultury. Siódma wieczór. - Kay uśmiechnęła się. - Ty jesteś gościem honorowym.

- Ja... ja nie przepadam za tłumnymi przyjęciami.

- Zaraz, zaraz, czy nie przyjechałaś tu po to, żeby przezwyciężyć nieśmiałość? Potraktuj tę okazję jako początek terapii.

- Ale ja nie mam co na siebie włożyć.

- Hmm... - Kay zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu. - Jesteś trochę niższa ode mnie, ale założę się, że mamy ten sam rozmiar ciuchów. A buty? Jaki nosisz numer?

- Sześć i pół.

- No, ja też! Zróbmy tak. Przyniosę jakieś kiecki i buty. Wybierzemy coś, a potem pomogę ci zrobić włosy i makijaż.

Całe dwie godziny Kay pracowała nad metamorfozą Cammie Jo, w końcu odsunęła się od lustra, żeby obie mogły ocenić rezultaty.

- Ta-dam!

Cammie Jo wytrzeszczyła oczy i oniemiała. Nie. To niemożliwe. To nie ona. Jej puls przyspieszył. W głowie miała karuzelę. Kay pędzlem do makijażu potrafiła dokonać cudu...

- Pokażę ci, jak to się robi. Jeśli chcesz.

- Och tak... - wysapała.

Patrząca na nią z lustra kobieta była kimś obcym.

Ta kobieta była piękna.

Jej oczy nie były banalnie niebieskimi oczami Cammie Jo, tylko przybrały głęboki odcień szmaragdowej zieleni. Zamiast dziecięco puciołowatych policzków miała wydatne kości policzkowe. Jej usta były pełne i zmysłowo odęte; cera świetlista jak muśnięte rosą płatki róży.

No i włosy.

Och, jej przylizane nijakie włosy w kolorze jasnego brązu! Teraz opadały na ramiona kaskadą puszystych, lśniących loków. Wciągnęła głęboko powietrze, oszołomiona, nie dowierzając własnym oczom.

- Och... - szepnęła.

- To samo powie każdy wolny facet w Bear Creek. Zostawiam cię, żebyś się spokojnie przebrała. Ja też muszę się przyszykować i spotkać z Quinnem w domu kultury. Przyjdź tam, jak tylko będziesz gotowa.

- Dobrze. - Cammie Jo posłusznie skinęła głową. - Dzięki za wszystko.

- Drobiazg.

Gdy drzwi zamknęły się za Kay, Cammie Jo skrzyżowała ręce i mocno się objęła, czując jednocześnie strach i podniecenie. Najpierw totalna przemiana, a teraz impreza? Z mnóstwem przystojnych mężczyzn. I mnóstwem pięknych kobiet, z którymi przyjdzie jej konkurować. Poczowała ciarki na plecach.

Na samą myśl, że będzie musiała prowadzić towarzyskie pogawędki z nieznanymi, miała ochotę uciec z wrzaskiem na jakieś bezludzie.

A z drugiej strony, tak bardzo chciała tam pójść.

Wypowiedz życzenie, a może zostać spełnione pragnienie twojego serca.

Podeszła do toaletki, podniosła naszyjnik, ostrożnie potarła go kciukiem i zamknęła oczy.

- Błagam - szepnęła. - Spełnij moje najskrytsze życzenie. Uczyń mnie silną i odważną. Zabierz moje lęki, pokonaj nieśmiałość, uwolnij mnie od ciągłej niepewności.

Założyła naszyjnik i w tej samej sekundzie wydała ostry pisk, zaskoczona nagłym uczuciem ciepła. Wszystko wskazywało na to, że amulet działał, kiedy

postawiła się Mackowi w korytarzu. Poza tym Jake powiedział, że to aleucki totem płodności o ogromnej magicznej mocy.

Faktem było, że ogarnęła ją przemożna pokusa, żeby wyprostować plecy i oznajmić całemu Bear Creek: Patrzcie, oto nowa Camryn Josephine.

Mack nie mógł się napatrzeć na te wszystkie atrakcyjne kobiety kroczące ulicami miasta jak po wybiegu dla modelek. Kiedy on i jego trzech przyjaciele dawali to ogłoszenie, do głowy mu nie przyszło, że kobiety spadną na Bear Creek jak manna niebieska.

Tak jak przypuszczał, dziewczyny z żeńskiej korporacji studenckiej były znacznie zabawniejsze od Tammie Jo Lockhart, choć wyglądało na to, że podczas lotu do Anchorage wypily o jednego drinka za dużo. Jedna ze śmielszych panienek posunęła się do tego, że uszczypnęła go w pośladek, kiedy wyładowywał ich bagaże. Nie był pewien, czy mu się to spodobało. Lubił śmiałe kobiety, a jakże, ale opowiadałby się za przestrzeganiem nietykalności prywatnych partii męskiego ciała, dopóki znajomość nie okaże się więcej niż chwilowa.

Przypomniął sobie o roztrzęsionej Tammie Jo przywierającej twarzą do jego ud, kiedy podejrzewała, że spadają na ziemię - i nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Zgoda, ona też naruszyła jego nietykalność, ale nie rozmyślnie. Po prostu była przerażona.

Zbliżała się siódma i Mack jechał na przyjęcie, które zorganizowali Kay z Quinnem na cześć zwyciężczyni konkursu. Tylko pod wpływem nalegań Kay Mack zgodził się włożyć smoking. Czuł się w nim jak błazen, nienawidził nosić wyjściowych ubrań, ale dziennikarka „Metropolitana” i narzeczona Quinna w jednej osobie radziła mu się przyzwyczajać ze względu na przyszłą żonę, która, kimkolwiek by była, na pewno nie zechce, żeby stanął z nią przed ołtarzem w byle czym.

Mack omal nie powiedział, że nie ożeni się z tego typu kobietą, ale ugryzł się w język, bo właśnie „tego typu kobietą” była Kay. A on za nic nie chciał zranić jej uczuć.

Ale prawdę powiedziawszy, jemu marzył się właśnie ślub w strojach sportowych. Na przykład na szczycie lodowca. Szukał kobiety odważnej, z charakterem, takiej, z którą można konie kraść. Dokładnego przeciwieństwa swojej matki.

Jego myśli biegły dalej tym nieprzyjemnym torem, kiedy nagle kątem oka dostrzegł sylwetkę idącej chodnikiem kobiety. Miała w sobie coś królewskiego. Opanowana, pewna siebie, wytworna. Jej włosy, o ciepłym karmelowym odcieniu, opadały na plecy spiralą loków, które skojarzyły się Mackowi z orzechowymi toffi. Wyobrażenie było tak sugestywne, że poczuł w ustach słodki, maślany smak swoich ulubionych cukierków.

Rewelacyjna czarna sukienka opinała jej ciało niczym druga skóra. Dół był wykończony postrzępionym rąbkiem, który trzepotał jak chusteczka wokół najzgrabniejszych łydek, jakie widział w swoim życiu.

Była doskonała. Absolutnie doskonała.

Zaschło mu w ustach. Oczy wyszły z orbit. Dłonie na kierownicy zaczęły się pocić.

Kim ona u diabła była? W ostatnich kilku dniach na pewno nie miał pasażerki o jej wyglądzie. Zapamiętałby. Musiał ją przywieźć inny pilot. Farciarz.

W dziesięciocentymetrowych szpilkach szła tak, jakby do niej należał świat. Ogarnął go zachwyt. Dziewczyna w jego typie.

Zaraz, zaraz, co ona ma na szyi?

Zdumiony, przyjrzał się sprośnej figurce odbijającej się od jej wypiętych dumnie piersi i poczuł się jak zahipnotyzowany.

Tak go wzięło, że gdy tajemnicza kobieta zeszała niespodziewanie z krawężnika, wcisnął pedał gazu zamiast hamulca.

Boże święty, zabiłby chodzące marzenie!

Jednocześnie z hamulcem gwałtownie nacisnął klakson. Samochód zatrzymał się z piskiem opon, a Mack poczuł mdłości.

Kobieta odwróciła się do niego z wyrazem oszołomienia w szeroko otwartych zielonych oczach. Mack wyskoczył z samochodu i stwierdził ze zgrozą, że zatrzymał się ledwie kilka centymetrów od jej boskiego ciała. Serce biło mu tak głośno, że nie słyszał własnych myśli.

Najpierw obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, jak gdyby to była wyłącznie jego wina. Potem zamrugła i odezwała się głosem, który zabrzmiał jakby znajomo.

- Boże, czy weszłam prosto pod koła?

- Tak. - Bez żadnego powodu poczuł się onieśmielony jak nastolatek. - Owszem, weszła pani.

- Na moje szczęście ma pan błyskawiczny refleks.

Nie mógł oderwać od niej oczu. I zupełnie nie mógł zrozumieć jej spokoju. Czy ona nie zdawała sobie sprawy, że przed chwilą omal jej nie zabił?

- Przepraszam. Wypatrywałam domu kultury i po prostu się zagapiłam.

- Wybiera się pani na przyjęcie zorganizowane przez magazyn „Metropolitan”? - spytał, wybałuszając oczy.

- Tak.

- Ja też. Chodźmy. - Wziął ją za rękę i nagle poczuł, że ma nogi jak z waty. Westchnął głęboko. Nie mógł dać po sobie poznać, jak ogromne zrobiła na nim wrażenie. Nie teraz. Za wcześnie. - Warto by zejść z ulicy.

- Co? - Zamrugła swoimi wielkimi zielonymi oczami, i było po nim.

- Zejdźmy z ulicy.

- Aaa... Dobrze.

No więc szczytem intelektu to ona nie była. Wielka rzecz. Z taką figurą nie musiała...

Hej, McCaulley, co jest w punkcie siódmym twojej listy? Ukłuło go sumienie.

Na siódmym miejscu swojej listy wymagań wobec przyszłej żony umieścił inteligencję. Nie bez powodu. Miał skłonność do zadawania się z pięknymi kobietami o ptasich mózdkach, które sądziły, że zapuszczenie kozła to tyle samo co odrosty po farbowaniu włosów.

Daj jej szansę, przekonywał się w duchu. To, że wyskoczyła ci przed maskę, nie znaczy jeszcze, że jest głupia. Wszyscy popełniamy błędy. Czy ty nie wcisnąłeś gazu zamiast hamulca?

Wskazał jej miejsce pasażera koło kierowcy i w kilka minut zajechali na parking przed domem kultury. Kiedy szli do wejścia, wszystkie głowy były zwrócone ku nim.

Skąd ona się tu wzięła? Wytwór fantazji wszystkich samotnych facetów pojawił się nagle w maleńkim zakątku na Alasce...

Ty nie szukasz fantazji, chłopie. Szukasz żony.

Zamknij się, odburknął głosowi sumienia. Wprowadzam ją tylko na przyjęcie, a nie klękam, żeby się oświadczyć.

Całe szczęście, bo nie wiedział nawet, czy ta kobieta jest zainteresowana małżeństwem. Ani czy jest zainteresowana nim.

I jeszcze ten... ta rzecz, którą miała na szyi. Co to, do licha, mogło być?

- Tak przy okazji, mam na imię Mack. Mack McCaulley. - Wyciągnął rękę.

Przez moment Cammie Jo przyglądała mu się badawczo. Była wyraźnie zmieszana.

- Czy my się wcześniej nie poznaliśmy? - spytała zduszonym szeptem.

- O nie, wykluczone. Nigdy bym nie zapomniał takiej kobiety jak pani.

Z jakiegoś powodu ta deklaracja wywołała przykry grymas na jej twarzy, choć w zamierzeniu miał to być komplement. Czyżby zrobił coś nie tak? Czy mogli się wcześniej spotkać? Nie. Zapamiętałby ją na pewno.

- Jestem Camryn - powiedziała po chwili. - Camryn Josephine, ale mówmy sobie po imieniu.

- Jak Cameron Diaz?

- Wymawia się tak samo, ale pisze inaczej.

- W każdym razie to bardzo piękne imię. - Uniósł zalotnie brwi w nadziei, że jeśli czymkolwiek jej niechcący podpadł, zostanie to puszczane w niepamięć.

- Dziękuję.

Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

Kay z Quinnem podeszli, żeby się z nimi przywitać, potem Cammie Jo pochyliła się i szepnęła coś Kay.

- Żartujesz. - Kay roześmiała się i spojrzała na Macka z karcącym błyskiem w oczach.

Co jest? Teraz to on się skrzywił. Nie znoził być obgadywany za plecami. Przywoływało mu to na pamięć najgorsze dziecięce wspomnienia z czasów, gdy jego matka uciekła z innym mężczyzną. I gdy jego pierwsza dziewczyna rzuciła go dla programisty komputerowego, który zarabiał krocie.

- Nie załapałem się na jakiś dowcip? - spytał Mack.

- Można by tak powiedzieć - burknęła Kay. - Masz pojęcie, kim ona jest?

- Niee - jęknął. - Przyznaję się bez bicia, że nie wiem.

- To ona wygrała konkurs zorganizowany przez nasz magazyn.

- Wyglupiasz się.

Hm, to by znaczyło, że prawdopodobnie była zainteresowana złapaniem męża. Sprawa się komplikowała. Mack spojrzał na urocze zjawisko z większą śmiałością, ale Camryn wciąż jakby się na niego boczyła. Chciał ją udobruchać i mieć to z głowy.

Kay objęła Camryn i odciągnęła ją na bok, nim Mack zdążył zaprotestować.

- Porywam twoją towarzyszkę, ale tylko na chwilę.



- Nie jestem tu z Mackiem - Cammie Jo mruknęła do Kay, gdy tylko znalazły się wystarczająco daleko, aby mężczyźni nie mogli ich usłyszeć.

- On myśli, że jesteś.

- Nie, on się nawet nie zorientował, że jestem tą samą osobą, którą przywiózł dziś samolotem z Anchorage. Gapi się na mnie jak na jakiś siódmy cud świata.

- No wiesz, skarbie, muszę stanąć w obronie Macka. Naprawdę wyglądasz jak całkiem inna kobieta.

- To irytujące. Kiedy byłam Cammie Jo, guzik go obchodziłam. Dla Camryn Josephine zrobiłby wszystko. Staje na głowie, żeby wyrzeć dobre wrażenie.

- Tacy są mężczyźni.

- Właśnie dlatego nie jestem nimi zainteresowana. Nieważne, czy jestem debilką, czy geniuszem. Liczy się tylko to, że dobrze wyglądam w jakiejś kiece!

- Nie osądzaj ich zbyt surowo. Musisz pamiętać, że w Bear Creek mieszka dziesięć razy więcej mężczyzn niż kobiet. Stąd te ogłoszenia matrymonialne. A tutejsze kobiety to praktyczne wiejskie gospodynie, które nie dbają o makijaż ani markowe ciuchy. Ten nagły zastrzyk kobiecości - wywołany ogłoszeniem - uderzył naszym kawalerom do głowy. - Kay zamknęła za sobą drzwi damskiej toalety i dyskretnie zachichotała. - Quinnowi kompletnie odbiło na punkcie kolekcji moich pończoch.

- Obiecuj, że nie powiesz Mackowi, jaka jestem naprawdę.

- To znaczy? - Nałożyła świeżą warstwę szminki na pełne usta.

- W rzeczywistości nie jestem piękna ani elegancka, ani pewna siebie.

- Nie opowiadaj głupstw, oczywiście, że jesteś. Potrzebowałaś tylko małej odmiany.

Cammie Jo nie rozumiała, co się dzieje. Ta metamorfoza nie była efektem wyłącznie drobnych zabiegów kosmetycznych. Tylko magiczny amulet mógł

dokonać takiej przemiany, ale o tym nie wolno jej było przecież z nikim rozmawiać.

- Proszę cię. Po prostu nie mów Mackowi, że jestem Cammie Jo.

- Dobrze, kotku, jak chcesz. A teraz wracajmy do naszych chłopców.

Przyjęcie wyraźnie się rozkręcało. Goście wciąż napływali, kapela grała jakiś nowy przebój country. Mack stał tuż przy wejściu, przyciągając ją wzrokiem. Wyglądał olśniewająco w tym smokingu. Jak marzenie każdej dziewczynki o przyszłym mężu.

Cammie Jo zrobiła może pięć kroków w jego stronę, kiedy otoczył ją wianuszek mężczyzn. Przez sekundę walczyła z paniką. Potem wzięła głęboki oddech, przypominając sobie, że nie ma powodu się bać. Miała przy sobie amulet. Jeśli chcą się gapić, proszę bardzo, niech się gapią.

Mackowi powinno to dać do myślenia.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Mack stał koło misy z ponczem, łypiąc wściekle na Jake'a, który szalał na parkiecie z kobietą jego marzeń. To nie fair! On pierwszy zobaczył Camryn. Właściwie omal jej nie przejechał, przez to, że tak nieprzytomnie się na nią gapił.

Zachwycał się gracją jej ruchów. Patrzył jak urzeczony na rozkloszowany dół sukienki wirujący wokół jej nóg. Przeszyła go zazdrość, kiedy dziewczyna uniosła wysoko głowę i roześmiała się z czegoś, co powiedział Jake. Nie powinien być zazdrosny, skoro sam miał do tańca dwie lewe nogi.

Więc skąd to pieczenie w dołku?

Włosy Camryn układały się jak falujący wachlarz, jej twarz promieniała. I nie tylko Mack był tym widokiem zauroczony. Dostrzegł wiele pożądlivych

spojrzeń samotnych mężczyzn, którzy podpierając ścianę, śledzili każdy ruch dziewczyny.

Była bardzo ładna, ale to naprawdę nie wystarczało. Już nie. W głębi duszy panicznie się bał, że popełni błąd i wybierze kobietę zbyt piękną i delikatną, by mogła wytrwać na jego rodzinnej Alasce. To dlatego ułożył listę zalet idealnej żony.

Poklepał górną kieszeń i wtedy sobie przypomniał, że przecież włożył smoking, więc jego lista została w domu. Nie szkodzi. Znał swoje wymagania na pamięć. Jego kobieta powinna być dzielna, z charakterem, lojalna, godna zaufania, chętna do podejmowania trudnych wyzwań, uczciwa i inteligentna. Zupełnie jak jego babcia.

Kiedy Jake to przeczytał, zadrwił, że Mack potrzebuje wzorowego skauta, a nie żony. Mack przetrwał jakiś czas komentarz przyjaciela, a w końcu dodał: musi być ciepła, mieć poczucie humoru i pozwalać się rozpieszczać. Oczywiście tej części listy nie pokazał Jake'owi. Nikt tak nie potrafi nam dopiec jak najbliżsi przyjaciele.

Nie wiedział, czy Camryn byłaby odpowiednia, czy nie. Dopiero po bliższym poznaniu okazałoby się, czy to wstępne iskrzenie było czymś więcej niż powierzchownym seksualnym pociąganiem. Szkoda mu było czasu na błahe przelotne romanse. To już przerabiał.

Właśnie skończył trzydzieści jeden lat i choć nigdy nie słyszał, żeby mężczyźni mieli zegary biologiczne, gotów był przysiąc na wszystko, że słyszał to dziwne tykanie z tyłu głowy.

Nie chciałby zostać starszym samotnym ojcem, jak jego tata, który miał czterdzieści dwa lata, kiedy Mack się urodził. Z powodu postępującego artretyzmu skończył na wózku inwalidzkim, kiedy Mack był trzynastoletnim chłopcem. Mack pragnął grać ze swoimi dziećmi w piłkę, chodzić po górach i grać w hokeja. Już dobrze wiedział, że życie na całego jest jedyną właściwą drogą. Bo człowiek nigdy nie wie, jaka go czeka przyszłość.

No dobrze, stary, nie dowiesz się niczego o Camryn, stojąc na boku. Rusz się i włącz do gry.

Zmieniła się muzyka, z jazzującego rocka na sennego, nastrojowego walca, i w tej samej sekundzie Mack klepnął w ramię swojego przyjaciela.

- Odbijany? - zwrócił się do Jake'a, a potem do Camryn. - Mogę cię prosić o ten taniec?

Jake wzruszył ramionami, kiwnął głową na zgodę. Camryn z uśmiechem wyciągnęła ręce do Macka.

Właśnie to mu się w niej najbardziej podobało. Sposób, w jaki odpowiadała na jego spojrzenie. Oko w oko. Jasno i wprost, bez udawania czegokolwiek. Nie płoszyła się, ale też nie nadrabiała agresją jak tamta przebojowa studentka. Była uczciwa, otwarta, swobodna.

Przynajmniej z pozoru wydawała się kobietą, o jakiej marzył, kiedy umieszczał z przyjaciółmi tamto ogłoszenie. Może los zaczął mu sprzyjać.

- Cześć - powiedział.

- Witaj. - Prosto, bezpośrednio, bez żadnych gier.

Camryn odsunęła z twarzy kosmyk włosów, ani na chwilę nie spuszczając wzroku. Mack w smokingu wyglądał nieprawdopodobnie przystojnie.

Nie bój się. Masz na szyi magiczny amulet i rozpoczynasz przygodę swojego życia, pomyślała.

Nie była już małą strachliwą Cammie Jo, tylko odważną Camryn Josephine, gotową zmierzyć się ze wszystkim, co przyniesie jej los. I tak cudownie się czuła w swojej drugiej skórze.

Mack wziął ją w ramiona. O tak! Istne wcielenie męskiej krzepy, muskulatury i siły.

A to wszystko, co odczuwała, było oszałamiającym doświadczeniem, całkiem nowym, niesamowitym. Żar jego ciała, rozchodzący się po jej skórze i przenikający ją na wskroś. Jego zapach, atakujący zmysły, budzący w niej

gwałtowne, bolesne pragnienie. Och, to działa się zbyt gwałtownie, niebezpiecznie szybko traciła grunt pod nogami.

- Nie jestem zbyt dobrym tancerzem - wymruczał. Och, jakie to ma znaczenie.

Szczęśliwie dla nich obojga, ciotka Kiki była kiedyś zawodową nauczycielką tańca, inaczej Cammie Jo na pewno nie odróżniałaby walca od fokstroda.

- Ale twoje nogi są wprost stworzone do tańca - ciągnął Mack.

Dawniej splonęłaby się na jakikolwiek komplement dotyczący jej urody, ale dziś przyjęła pochwałę jako coś absolutnie naturalnego. A dlaczego by nie, przecież naprawdę miała niezłe nogi! Nareszcie ktoś to zauważył. Niesamowite.

Śmiałym szczęście sprzyja.

Jedno z ulubionych powiedzeń jej matki. Dość dobrze zapamiętała z dzieciństwa, jak mama martwiła się, że jej ukochana córeczka jest zbyt nieśmiała, zbyt skromna i zamknięta w sobie. I jak bardzo starała się wydobyć Cammie Jo z jej skorupy.

- Camryn - zagaił - powiedz, czym się zajmujesz.

Czy powinna powiedzieć mu prawdę? Będzie pod wrażeniem czy wręcz odwrotnie? Ale i tak, nawet gdyby chciała, nie wymyśliłaby na poczekaniu żadnego kłamstwa. Taką już miała naturę

- Pracuję nad doktoratem z nauk informatycznych. I uczę młodszych studentów na Uniwersytecie Tekszańskim.

- Naprawdę? Przyznam, że mnie zaskoczyłaś.

- Dlaczego? Wyglądam jak nierozgarnięta?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale nauki informatyczne... wydawałoby się, że to zawód, który przyciąga raczej introwertyków, a nie tak towarzyskie damy.

- Myślisz, że jestem towarzyska?

- Jasne. Jeśli potrafisz zachowywać się tak swobodnie nawet w tłumie obcych ludzi...

Prawie parsknęła śmiechem. Nikt dotąd nie zaszczylił jej podobnym komplementem.

Mack nie odrywał od niej oczu, coraz bardziej rozpalonych. Tak rozpalonych, że czuła się, jakby miała ubranie przyklejone do ciała. Wszędzie tam, gdzie spoczywało jego spojrzenie, wyskakiwała jej gęsia skórka.

Zsunął wzrok z jej oczu na grzbiet nosa.

Jej nos natychmiast zapłonął.

Łakomie przyglądał się ustom.

Ssss!

Usta stały się morzem ognia.

Pieścił wzrokiem jej szyję.

Auu!

Cały dekolt stał się rozgrzaną patelnią.

Chwileczkę, dokąd on zawędrował tym nieprzyzwoitym spojrzeniem?

Trzask!

Jej piersi buchnęły iskrami.

Nie, nie, ani centymetra niżej. Błagam.

Szust!

Jej brzuch stanął w płomieniach.

Na moment spojrział jej w oczy, potem z szatańskim uśmiechem opuścił wzrok jeszcze niżej.

Pożar lasu w Yellowstone był niczym w porównaniu z tym, co się działo z nią... Ratunku! Wezwijcie straż pożarną. Camryn Josephine jest jak rdzeń reaktora nuklearnego w stanie topnienia.

Krążyli zapamiętale po parkiecie, choć nie bardzo wsłuchani w muzykę. Mogliby ich skuć kajdankami, Cammie Jo i tak by tego pewnie nie zauważyła.

- Napijemy się czegoś? - spytał, gdy zespół zrobił sobie przerwę. - Chodź, załapiemy się na trochę ponczu i odetchniemy świeżym powietrzem.

- Brzmi obiecująco - mruknęła, zszokowana brzmieniem własnego głosu, uwodzicielskim i ochrypłym jak u czarnych wokalistek bluesowych.

Porwał z baru kilka szklanek ponczu, garść ciasteczek i poprowadził Cammie Jo do tylnego wyjścia. Kiedy ciężkie metalowe drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, wzięła głęboki oddech i spojrzała w niebo, zdziwiona, że wciąż jest biały dzień, choć minęła dziewiąta.

Lato na Alasce.

Cammie Jo zatrzymała wzrok na rysujących się w oddali górach i nadgryzła migdałowe ciasteczko, żeby się trochę pozbierać. Powiew chłodnego powietrza pomógł jej zapanować nad gorączką myśli, niestety na krótko, dopóki Mack nie stanął tuż za nią.

Czuła jego obecność całą sobą. Czuła jego wzrok przemykający po jej ciele i włosach, wzrok pożerający ją kawałek po kawałku.

To się nazywa przeczulenie! Gdyby nie miała naszyjnika, dawno temu uciekłyby do pensjonatu. Akurat. Nigdy by nie wyszła ze swojego pokoju. Siedziałyby z podkurczonymi nogami na łóżku, sączyła kakao i oglądała stare filmy.

Nuda.

- Twój poncz. - Kiedy podawał jej kubek, musnęli się palcami.

Skoncentrowała się na picciu, unikając wzroku Macka.

Jestem odważna. Jestem silna. Nic, ale to nic mnie nie przestraszy. Nawet facet z oczami jak sylwestrowe fajerwerki.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział, zbliżając się do niej o krok.

- Dziękuję.

Nie zaczerwienię się i nie cofnę. Żeby nie wiem co!

- Na pewno ciągle to słyszysz.

- Nie tak często, jak mogłoby ci się wydawać. Zrobił następny krok w przód.

Jej serce łomotało jak szalone.

- Chciałbym cię poznać bliżej.

Zauważyła dołek w jego brodzie i prowokacyjny błysk w oczach. Czyżby proponował jej randkę?

- Ach tak... - mruknęła.

- Tak. Przyznam wprost. Ze wszystkich kobiet, które pojawiły się w Bear Creek w ostatnich kilku tygodniach, jesteś jedyną, która naprawdę wzbudziła moje zainteresowanie.

- A to dlaczego?

- Jest w tobie jakaś tajemnica, a ja lubię rozwiązywać zagadki.

- Naprawdę? - Nie mogła uwierzyć, jak łatwo przychodzi jej flirtowanie, jak wytrzymuje spojrzenie Macka,

bez mrugania i oblewania się rumieńcem. Ugryzła ciastko i z premedytacją przesunęła językiem po wargach.

- Naprawdę. - Oczami śledził ruch jej języka.

- To ciekawa pasja. Rozwijająca.

- Nabijasz się ze mnie.

- Nie.

- Skąd jesteś, Camryn Josephine?

Uniósł rękę i przez jedną krótką chwilę pomyślała, że zaraz jej dotknie, ale Mack oparł dłoń o ścianę budynku i pochylił się. Pachniał bosko. Widziała jak w powiększeniu jego długie, gęste rzęsy. Wydawały się miękkie jak sobole i łagodziły jego dociekliwe spojrzenie.

- Z nieba.

- Wierzę ci. Jesteś absolutnie wyjątkowa. Próbuję zgadnąć, jak jesteś nastawiona do przygód...

- Nie rozumiem...

- Czy lubisz bliskość natury, spędzanie czasu na świeżym powietrzu. No wiesz, rower, kajak, wędkowanie, chodzenie po górach, cokolwiek. - Czekał niecierpliwie na odpowiedź, niemal wstrzymując oddech.



Boże drogi, co miała odpowiedzieć?

Przypomniała sobie ogłoszenie. Podpis pod zdjęciem.

Poszukiwane amatorki dzikiej natury!

Zwilżyła językiem wargi, wyczuwając przesłodzony smak truskawkowo-bananowego ponczu, przełamany migdałowym aromatem ciastka, które właśnie zjadła.

- Z rozkoszą rzucę się w każdą przygodę, którą mi zaproponujesz.

- Każdą?

- Każdą.

- Poczekaj, nie ruszaj się. - Nagle Mack zaczął patrzeć na nią jakoś dziwnie, koncentrując się głównie na ustach.

Oho. Czyżby w końcu do niego dotarło, że nie flirtuje z zuchwałą Camryn, lecz z chorobliwie nieśmiałą Cammie Jo? Obleciał ją strach, ale tylko na moment, zanim sobie przypomniała wypowiedziane życzenie.

Wyciągnął rękę i opuszką kciuka pogładził kącik jej ust. Patrzył jej prosto w oczy.

Cammie Jo zadrżała. Co on wyprawia?

- Okruszek ciastka.

- Aaa.

Ale kciuk wrócił na swoje miejsce, a Mack wciąż tam był, z twarzą tuż przy jej twarzy.

- Nie tak szybko. - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie łagodnym, ale zdecydowanym ruchem. Potem schylił głowę i zamknął pocałunkiem jej zdziwione usta.

Była w niebie. Ale gdy zaczął napierać językiem na jej zaciśnięte zęby, odskoczyła w popłochu.

Mack zamrugał. Pierwsza myśl zaskoczyła jego samego. Camryn Josephine nie miała pojęcia o całowaniu się. Ale jak to możliwe? Nie, nie! Ta

gorąca, harda panienka musiała całować się z dziesiątkami, jeśli nie setkami facetów.

Może nie była pewna swoich uczuć i stąd ta nieporadność? Chciał posunąć się dalej, smakować ją do upojenia. Przekonać się, czy rzeczywiście była kobietą, jakiej szukał.

Uniósł wskazującym palcem jej podbródek i poczekał, aż spojrzy mu w oczy.

Widział przyspieszony puls na jej szyi, czuł, jak cała drży, a jej rosnące podniecenie wzmagало jego własne. Czy jej zamięłowanie do przygód obejmowało przygody miłosne?

Pragnął jej do bólu, ale nie zamierzał pozwolić zapanować swojemu pożądaniu nad rozumem. Nie! Mowy nie było o zaciągnięciu jej do łóżka. Ale mógł jeszcze raz ją pocałować. Po to, żeby mieć o czym myśleć.

Przypadł wargami do jej ust w gorączkowym pośpiechu. Smakowały tak cudownie, że omal nie jęknął.

Camryn wiała się w jego ramionach. Dla nowicjuszki to było o wiele za dużo, za szybko.

I co z tego, głupia, masz przecież swój amulet...

Sięgnęła do naszyjnika, żeby zaczerpnąć z niego nieco siły. Ale kiedy położyła palce na dekolcie, nie wyczuła nic poza własną skórą.

W napadzie paniki odskoczyła w tył, wprawiając Macka w osłupienie.

- Co się stało...?

Cammie Jo zerknęła w dół na swój biust. Naszyjnik zniknął!

Bez niego nie była już na tyle odważna, żeby całować się z nieznajomym. Zdana na samą siebie, nie potrafiła flirtować, trzepotać rzęsami, prowadzić romansowych gier.

Znów była starą Cammie Jo. Nieporadną, tchórzliwą, bez odrobiny wiary w siebie.

Przerażona, wbiła wzrok w ziemię i zaczęła rozglądać się dookoła, szukając naszyjnika wśród kwitnącego łubinu.

- Camryn? Co się stało? - Mack położył rękę na jej ramieniu.

Ten dotyk ostatecznie wyprowadził ją z równowagi. Musiała uciekać. Musiała zniknąć, zanim wszystko zepsuje. Musiała się ukryć, zanim Mack nie zobaczy w niej nudnej starej panny, którą w istocie była.

Później, po skończonej imprezie, powinna wrócić i spróbować odnaleźć zgubę. Ale teraz mogła tylko ratować się ucieczką.

- Ja... ja nie mogę. - Odwróciła się na pięcie i zaczęła biec na złamanie karku.

- Camryn! - krzyczał. - Co się stało? Porozmawiaj ze mną, proszę.

Nie zawahała się.

- Poczekaj!

Stuk, stuk, stuk - potknięcie. W niebotycznych obcasach kostki wykrzywiały jej się na boki, ale Cammie Jo biegła dalej, lekceważąc ból.

Pospiesz się, pospiesz. Musisz go zgubić.

Tylko jakim cudem - kompletnie nie znając miejsca i nie wiedząc, dokąd biec? Okrążyła budynek, pełna nadziei, że Mack zrezygnuje z pościgu. Na litość boską, gdyby przed nią uciekał jakiś mężczyzna, przyjęłaby do wiadomości, że dostała kosza, i nie goniłaby za nim.

Ale Mack prawie dyszał jej w plecy. Cholera, gdzie mogłaby się przed nim schować? Przeskoczyła jakiś krzak na krańcu chodnika. Wyjściowo ubrany tłum wlewał się przez szerokie drzwi do domu kultury. Cammie Jo przecisnęła się przez zbitą grupę, używając ludzkich ciał jako tarczy dzielącej ją od Macka.

- Przepraszam - usłyszała jego głos, ale parła do przodu, ani na sekundę nie zwalniając.

Brak tchu. Kuksańce w bok. Ostry ból w kostce. Wszystko to mogła znieść, ale nie spotkanie twarzą w twarz z Mackiem. Nie teraz, gdy zgubiła magiczny amulet.

Przedarła się przez drzwi wejściowe, minęła zdziwioną Kay i pobiegła na górę do względnie bezpiecznej kryjówki, jaką była damska toaleta.

Dobra, uspokój się, nie panikuj.

Świetna rada. Równie użyteczna, jak powiedzenie pani domu, żeby nie panikowała, kiedy za piętnaście minut spodziewa się setki gości na obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia, a czterdzieści kilo indyka właśnie wybuchło razem z jej nowiutkim piecykiem.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi Cammie Jo krążyła po lśniącej łazience. Co miała robić? Nie mogła spędzić tu całej nocy.

A może właśnie tak?

Kusząca myśl, ale Mack nie należał chyba do ludzi, którzy poddają się bez walki i, wcześniej czy później, posłałby za nią jakąś kobietę.

Stuk, stuk, stuk.

I nagle jej wzrok zatrzymał się na oknie.

Hm... Mały otwór, ale ona też nie była duża.

Wdrapała się na umywalkę, uchyliła okno i wystawiła na zewnątrz głowę.

A niech to!

Do ziemi było dalej, niż się spodziewała. Cofnęła się i zaczęła rozważać wszystkie możliwości. Liczyły się tylko dwie - mogła skoczyć z tego okna albo ryzykować spotkanie z Mackiem.

Zamknęła oczy, wypowiadając w myślach życzenie, żeby odnalazł się jej amulet.

- Camryn? - Z zewnątrz dobiegł głos Kay. - Jesteś tam? Mack cię szuka.

Uff. Teraz albo nigdy.

Cammie przełożyła nogi przez parapet, wzięła głęboki oddech i skoczyła. W szpilkach, z torebką w ręku...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie ma jej tam. - Kay rozłożyła bezradnie ręce.
- Jak to nie ma? Widziałem na własne oczy, jak wchodziła do środka.
- Sprawdziłam wszystkie kabiny. W łazience nikogo nie ma.
- Kryjesz ją - burknął z pretensją Mack.
- Jakim prawem zarzucasz mi kłamstwo?
- Nie, Kay, przepraszam. Po co miałabyś kłamać?
- Więc powiem ci, że okno łazienki jest otwarte na oścież.
- Myślisz, że wymknęła się przez okno?
- Na to wygląda. - Kay wzruszyła ramionami. - Co ty jej zrobiłeś?
- Ja? Niczego jej nie zrobiłem...
- Zauważyłam już dawno, że mężczyźni z Alaski są w gorącej wodzie kąpani. Może byłeś po prostu za szybki jak na jej gust?
- Więc dlaczego mi tego zwyczajnie nie powiedziała?
- Będziesz musiał zadać to pytanie Camryn.
- Jasne. Tylko jak mam to zrobić, jeśli nie wiem, gdzie ona jest?
- Zatrzymała się u Jake'a.

Po prostu zapomnij o niej, McCaulley. Świat nie kończy się na tej dziewczynie. Rozejrzyj się dookoła.

Ale przecież nie mógłby tak łatwo wyrzucić z pamięci Camryn, nie próbując nawet wyjaśnić jej zachowania. A jeśli w jakikolwiek sposób ją uraził, naprawdę chciał przeprosić.

Do pensjonatu Jake'a miał dwie minuty drogi. Wszedł do środka i zobaczył, że dyżur w recepcji ma stary zrzęda Gus. Mężczyzna siedział na stolku, z pochyloną głową, zatopiony w lekturze jakiegoś kieszonkowego kryminału z bardzo krzykliwą okładką.

- Cześć, Gus.

Gus odburknął i ledwie podniósł głowę znad książki.

- Wiem, że zatrzymała się u was niejaka Camryn Josephine. Mógłbyś mi podać numer jej pokoju?

- Nie udzielamy tego rodzaju informacji.

- Daj spokój, Gus, znasz mnie.

- Tak... niezłe z ciebie ziółko, McCaulley. Nie ufam ci.

- To było dwadzieścia pięć lat temu, Gus. - Starszy pan nie darowałby sobie żadnej okazji, żeby wypomnieć Mackowi grzechy młodości.

- Ja mam długą pamięć.

- Wiem, wiem. Przyznaję i biję się w piersi. Byłem okropnym bachorem. Mógłbyś przynajmniej wykręcić numer jej pokoju?

- Nie masz u niej żadnej szansy. Za mądra dla takiego typu jak ty.

- To samo mówiłeś o Quinnie i Kay, i pomyliłeś się. Gus fuknął pod nosem, odłożył na chwilę książkę i wykręcił numer Camryn. Odczekał kilka minut i odłożył słuchawkę.

- Nie odpowiada. - Gus wrócił do swojej lektury, a Mack odszedł bez słowa.

Gdzie ona może być? Ta kobieta zniknęła jak kamfora. Wzdychając, przeszedł przez hol recepcyjny i opadł na fotel w salonie gościnnym pensjonatu. Dziś było tu pusto, nie licząc tej strachliwej kobiety w przeraźliwie grubych okularach.

Jak ona ma na imię? Tammie Jo? Może widziała tu gdzieś Camryn?

Podszedł do sofy przy kominku, gdzie siedziała z podkurczonymi nogami i książką w ręku. Miała upięte byle jak włosy, różowy szlafrok i frotowe kapcie w kształcie głowy Królika Bugsa. Jakoś niespecjalnie go zdziwił ten jej śmieszny domowy wygląd. Przed nią na stoliku stała szklanka mleka i talerz chrupek.

Tak trzymaj, Tammie Jo.

Przysiadł na brzegu ciężkiego stolika z cedrowego drewna, który stał w zasięgu jej ręki.

- Witaj.

Nie podniosła nawet głowy, oczy miała wlepione w książkę. Była równie towarzyska jak Gus.

- Pamiętasz mnie?

Skinęła głową, nadal nie zaszczycając go spojrzeniem.

- Długo tu siedzisz? Wzruszyła ramionami.

- Widziałaś może przechodzącą tędy kobietę? Wysoka. Nie, zaraz, trzeba wziąć poprawkę na bardzo wysokie obcasy. - Przez chwilę taksował spojrzeniem Tammie Jo.

- Właściwie była podobnej postury jak ty... Miała na sobie taką obłądną czarną sukienkę.

- Przykro mi - odburknęła. - Nie widziałam jej.

No tak. Pograł jak idiota. Panna Brzydula najwidoczniej bez przyjemności wysłuchiwała jego zachwyty na temat innej kobiety. Czy mógł ją za to winić?

- Dziękuję za pomoc.

Nie odpowiedziała i nie podniosła głowy znad książki. Koniec świata. Przyleciała na Alaskę z drugiego krańca kontynentu, żeby siedzieć na kanapie i czytać?

Kręcąc głową, Mack wstał i wyszedł z pensjonatu. Pora wracać do domu. Dostyc miał uganiania się za kobietą swoich marzeń. Przynajmniej jak na jeden wieczór.

Naprawdę jej nie poznał! Cammie Jo, przedzierając się na klęczkach przez zarośla łubinu na tyłach domu kultury, nie mogła się z tym pogodzić. Było po północy, słońce wreszcie zaszło, dlatego trzymała w zębach kieszonkową latarkę w kształcie pióra.

Czy ten facet nie był przypadkiem głupi jak but? Czy może zaślepiony rzekomą pięknnością Camryn, nie dostrzegł, że siedząca naprzeciw niego kobieta jest tą samą, którą pożerał wzrokiem cały wieczór?

A może prawda była znacznie prostsza? Może z góry uznał ją za istotę aseksualną i spisał na straty, tak jak to od lat robili wszyscy mężczyźni, których spotykała na swojej drodze? Doskonale wiedziała, w jaki sposób doszedł do zasadniczej konkluzji na jej temat. Workowate ciuchy, grube szkła, brak makijażu, umiłowanie książek - wypisz, wymaluj portret starej panny.

Wszystko się w niej zagotowało.

Mężczyźni, prymitywne samce. Liczą się dla nich tylko pozory, wygląd zewnętrzny.

Wystarczy jeden podnoszący biust stanik, kolorowe szkła kontaktowe, pantofle na wysokich obcasach, fachowy makijaż i gotowe - Kopciuszek staje się księżniczką.

Była wściekła, zde gustowana, rozdrażniona, i wciąż pod urokiem nieznosnego McCaulleya.

I diabli wiedzą, dlaczego nie mogła przestać o nim myśleć.

Albo o tym, jak smakowały jego usta.

Dlaczego nie wyszła do niego po prostu i nie zagrała va banque: Słuchaj, jestem Camryn. To moje prawdziwe imię, ale ledwie odrosłam od ziemi, wszyscy mówili do mnie Cammie Jo.

Dlaczego? Dlatego, że bez amuletu nie odważyłaby się rozmawiać z nim w ten sposób. I dlatego, że nie chciała zobaczyć rozczarowania na jego twarzy w chwili, w której dotarłoby do niego, że nie była gorącą, seksowną ślicznotką, za jaką ją uważał.

Eee tam! Jest się czym martwić! Nie przyjechała na Alaskę po to, żeby złapać męża. Małżeństwo było ostatnią rzeczą, o jakiej poważnie myślała. Marzyła jej się wielka przygoda, mnóstwo przygód. Chciała próbować nowych



potraw, pić w najróżniejszych sceneriach, wdychać nieznane zapachy. Chciała zobaczyć łosie, orły bieliki i niedźwiedzie.

Ale nie miała szansy na spełnienie tych marzeń, dopóki nie odnajdzie zagubionego amuletu.

Już miała się poddać, kiedy trafiła ręką na coś twardego i krzyknęła z radości. Jest! Poranna wyprawa do Tongaskiego Parku Narodowego znów była aktualna. Cammie Jo poświęciła latarką na naszyjnik, znalazła miejsce, w którym pękła żyłka, zawiązała ją na staranny supełek i zawiesiła na szyi magiczną ozdobę.

Natychmiast poczuła się lepiej.

No. Do diabła z Mackiem. Znów była odważną Camryn i dopóki miała przy sobie amulet, nikt nie mógł jej powstrzymać od rzucenia się w wir przygody jej życia.

Obudziła się o świcie, gotowa do pierwszej wyprawy. Otworzyła okno i wciągnęła w płuca haust czystego górskiego powietrza. Potem ubrała się, zasznurowała buty, umocowała dodatkowym węzłem totem i zawiesiła naszyjnik na obszernym niebieskim golfie. Nie miała zamiaru zgubić po raz drugi swojego klucza do szczęścia.

Po kilku próbach udało jej się w końcu założyć szkła kontaktowe, zrobiła, co mogła, żeby odtworzyć makijaż autorstwa Kay, i nawet jakoś to wyglądało. Zostawiła rozpuszczone włosy, rozczesała je tylko energicznie, potrząsnęła głową i sprawdziła efekt swoich zabiegów w lustrze.

W porządku! Camryn Josephine jak żywa.

Przemknęła przez hol recepcyjny, o tej porze zupełnie pusty, nie licząc starego recepcjonisty, który nigdy nie podnosił głowy znad porannej gazety. Gdy już wyszła na zewnątrz, bez trudu znalazła ulicę zapełnioną pasażerami schodzącymi ze statków wycieczkowych pływających na trasach przybrzeżnych. Restauracje tętniły życiem, w powietrzu unosił się kuszący zapach omletów,

smażonego bekonu i mocnej kawy. Kupiła sok pomidorowy i jagodziankę od ulicznego sprzedawcy, a potem skierowała kroki na miejsce zbiórki.

Autobus wycieczkowy miał ich zawieźć do Tongaskiego Parku Narodowego na sześciokilometrową wędrowkę. Cammie Jo weszła przednimi drzwiami i zobaczyła, że w środku jest już ze dwadzieścia atrakcyjnych młodych kobiet i kilka par w średnim wieku. Usiadła po prawej stronie, niedaleko kierowcy. Wyglądał znajomo i po kilku minutach przyglądania mu się z boku rozpoznała twarz z ogłoszenia matrymonialnego.

Obiektywnie rzecz biorąc, był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Śniady, z kruczoczarną czupryną i oczami jak włoskie niebo, to on musiał być magnesem, który przyciągnął tyle dziewczyn o tak niechrześcijańskiej porze dnia.

Podczas gdy Mack był przystojny na swój charakterystyczny surowy sposób, ten facet przypominał posąg greckiego boga. Doskonałość jego urody była onieśmielająca. Caleb, przypomniała sobie Cammie Jo. Caleb Greenleaf, przyrodnik i jak się okazało, również kierowca autobusu.

Po niej weszło jeszcze kilka kobiet - chichotały i robiły, co mogły, żeby wyrzucić wrażenie na Calebie, nim zajęły miejsca siedzące. Wtedy on wstał i zaczął liczyć głowy. Porównał z listą.

- Wygląda na to, że wszyscy są, oprócz mojego pomocnika. Damy mu jeszcze kilka minut, bo trudno będzie mi samemu poprowadzić tak liczną grupę.

Dziewczyny najwyraźniej nie miały nic przeciwko temu, żeby posiedzieć jeszcze trochę i pogapić się na Caleba, bo żadna nie zaprotestowała, choć Cammie Jo usłyszała, że ktoś za jej plecami powiedział szeptem: Do południa musimy wrócić na statek.

Dokładnie w tym momencie do autobusu wpadł mężczyzna w brązowej kurtce.

- Dzień dobry wszystkim - powiedział Mack McCaulley. - Przepraszam za spóźnienie.

Fala słodkiego damskiego świergotu, która przetoczyła się po autobusie, znaczyła: nie ma sprawy!

Gdy Caleb zamknął drzwi i uruchomił silnik, Mack, trzymając się jedną ręką poręczy, sięgnął po mikrofon - i dopiero wtedy zobaczył Cammie Jo.

Jednocześnie wstrzymali oddech.

Aż zatrzeszczał mikrofon, kiedy Mack gwałtownie zaczerpnął powietrza.

Serce Cammie Jo łomotało jak oszalałe. Co on tu robi? Dlaczego nie poleciał gdzieś swoim samolotem?

Pozbierał się błyskawicznie, przedstawił się i zaczął mówić coś o wycieczce. Ale do Cammie Jo nie dotarło ani jedno słowo. Ścisnęła amulet i zaczęła oddychać swobodniej. Wszystko w porządku. Nic się nie dzieje.

W dziesięć minut dojechali do granicy lasu. Caleb zaparkował autobus i poprosił ludzi o rozdzielenie się na dwie dwunastoosobowe grupy. Jedna miała iść z nim, druga z Mackiem.

Caleb wysiadł z autobusu, za nim turyści, a Mack stał w miejscu, jakby zapuścił korzenie, i nie odrywał oczu od jej twarzy. Cammie Jo nie wiedziała, co robić.

Puls jej skakał jak krople wody na rozpalonej do czerwoności blasze, w żołądku wszystko się kotłowało jak w bębnie pralki automatycznej.

Nie powinna być przestraszona. Lecz raptem zdała sobie sprawę, że jej wewnętrzne rozdygotanie to wcale nie strach. Raczej ekscytacja z domieszką czegoś innego: uczucia, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła z taką intensywnością.

Podniecenie seksualne.

Dzieląca ich przestrzeń naładowana była jak linia wysokiego napięcia. Każdy włoszek na jej przedramieniu stał na baczność. Miała wrażenie, że topnieje.

W autobusie było już całkiem pusto, nie licząc jej i Macka. Podszedł wolno, tupiąc ciężkimi butami w rytmie uderzeń jej serca.

- Mam z tobą do pomówienia.

Cammy Jo rozejrzała się nerwowo, szukając drogi odwrotu. Nie dlatego, że bała się tego okazu chodzącego testosteronu, ale właśnie dlatego, że się nie bała.

- Nie masz dokąd zwać, kwiatuszku. Jeśli chcesz wyjść z tego autobusu, musisz mi powiedzieć, dlaczego wczoraj uciekłaś.

- Mack!

Oboje aż podskoczyli.

Caleb zapukał w szybę i wskazał palcem swój zegarek.

- Hej, stary, tracimy dzień.

- Obowiązki wzywają - powiedziała Cammy Jo, tak przesłodzonym głosem, że pszczoła miodna by się zakrzuszyła.

- Tylko nie myśl, że masz to z głowy. Wcześniej czy później czeka nas długa rozmowa.

- Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko długim rozmowom.

- Cieszę się. Więc idziesz z nami na wycieczkę?

- Oczywiście.

Usunął się na bok, gestem ręki zapraszając ją do wyjścia.

- Panie przodem.

Wstała, ominęła go z dumną miną, ale wysiadając po schodkach z autobusu, potknęła się o sznurowadło własnego buta i jak długa wylądowała na ziemi.

Minęło półtorej godziny z ich trzygodzinnej wyprawy przez las i Mack nie mógł przestać gapić się na Camryn. Uśmiechał się, ilekroć przypominał sobie jej upadek. Nim zdążył rzucić się na pomoc, sama zerwała się na równe nogi, otrzepała z kurzu i cisnęła mu tak wymowne spojrzenie, że cofnął się natychmiast, z rękami uniesionymi w geście kapitulacji. Zaimponowała mu. Była dziewczyną z niepospolitym charakterem; zaskakującym połączeniem królewskiej gracji z dzikością podwórkowego kocura. W równych proporcjach.

Zatrzymywał od czasu do czasu grupę, żeby opowiedzieć coś o miejscowej florze i faunie. Podczas tych krótkich przerw Camryn starała się, jak tylko mogła, nie patrzeć na Macka, udając szalone zainteresowanie rosnącymi wokół roślinami. Natomiast Mack bez żadnych skrępowań, bezczelnie pożerał ją wzrokiem. Nie miał się czego wstydzić.

Może poza tym, że nigdy w życiu, z niczyjego powodu nie był tak rozkojarzony. Jakiś głupekowaty facet w średnim wieku, w nieodpowiednich butach i śmiesznym stroju, wciąż zadawał mu bezsensowne pytania, typu: „Dlaczego tutaj nie ma innych gatunków drzew poza świerkiem Sitka i zachodnią cykuta?”.

- Bo tak już jest - odburknął w końcu Mack i usłyszał parsknięcie Camryn.

Śmiała się z niego czy z tego durnia? Najważniejsze, że jego błyskotliwa odpowiedź skutecznie zbiła z tropu nadmiernie dociekliwego turystę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Auu! - krzyknął ktoś z czoła grupy, którą zamykał Mack, i bardzo mu to przypominało głos Camryn. Patrzył akurat w bok, ale na tyle szybko zdążył odwrócić głowę, żeby zobaczyć skrawek jej ubrania, kiedy zsuwała się ze skarpy.

Niech żyje zgrabność, pomyślała Cammie Jo. Wywinąwszy orła na stromym zboczu, poturlała się w dół i szczęśliwie wylądowała w dołku porośniętym gęstym, mokrym mchem. Być może jej amulet leczył nieśmiałość, ale wszystko wskazywało na to, że kliniczny przypadek niezdarności nie poddaje się nawet magii.

Na myśl o amulecie w popłochu złapała się za szyję.

Uff... Był na swoim miejscu.

- Camryn! - krzyknął Mack. - Nic ci nie jest?

Spojrzała w górę pod słońce i zobaczyła ciemną płaską sylwetkę Macka. Pomachała radośnie.

- Wszystko w porządku.

Słyszała, jak schodzi, przedzierając się przez omszałe krzaki z gracją słonia. Ten odgłos i ta chwila podniecającego oczekiwania sprawiły, że Cammie Jo dopiero teraz dostała zadyszki.

Próbowała się pozbierać, ale Mack już przy niej był, już ją obejmował, podnosząc z wilgotnej, błotnistej murawy. Miała plecy oparte o jego tors, usta tak blisko jego twarzy, że nagle przestała myśleć. Odurzona leśnym zapachem jego skóry, czuła, jak ogarnia ją dzikie, nieokiełznane pożądanie, z wszelkimi jego możliwymi symptomami.

Pragnęła go. Gorąco, rozpaczliwie, do szaleństwa. Tu i teraz. W leśnym dołku, na mchu. Mając za świadków chmary ptaków, wiewiórki i króliki. On był wspaniały. Seksowny. On... się z niej śmiał.

- Co cię tak śmieszy? - Zmrużyła groźnie oczy.

- Ty, kwiatuszku.

- Nie jestem twoim kwiatuszkiem.

- Nie. Śmiem przyznać, że nie jesteś.

- W takim razie przestań się śmiać.

- Nie mogę. Szkoda, że siebie nie widzisz. Jaśnie panienka trochę się pobrudziła. Paprochy we włosach, błoto na policzkach, poplamiona kurtka.

- Kogo nazywasz jaśnie panienką?

- Jakbyś nie wiedziała.

- Gdzie jest reszta grupy? - Wyplątała z włosów kilka liści i spojrzała w górę na szczyt skarpy.

- Kazałem im dogonić Caleba.

- To znaczy, że zostaliśmy tylko my?

- Uhm. Ty i ja. Sami.

Oho, ciekawe, co oznaczał ten groźny błysk w jego oczach.

- Dlaczego jesteś na tej wycieczce? Nie powinieneś latać, wozić turystów z lotniska i z powrotem?

- Chciałabyś, żeby mnie tu nie było?

- Tego nie powiedziałam.

- Od czasu, kiedy daliśmy to ogłoszenie, Caleb ma o wiele większy ruch w interesie. Z trudem się wyrabia. U mnie we wtorki przed południem na ogół mało się dzieje, więc pomagam kumplowi.

- I możesz się do woli napatrzeć na tyłeczki pięknych młodych dziewczyn.

- To też. - Uśmiechnął się kątem ust i objął ją mocniej w talii. - Najlepszy tyłeczek, jaki widziałem w swoim życiu, masz ty.

- Kłamca.

- Na honor skauta. - Uniósł dwa palce.

- Byłeś skautem?

- Uhm.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Równie trudno było jej uwierzyć w to, że stała w ciemnym lesie sam na sam z najseksowniejszym mężczyzną pod słońcem.

- Ale to prawda.

- Rozumiem, że mam ci uwierzyć na słowo.

- Jeśli cię pocałuję, znów uciekniesz?

- Nie - wyszeptała.

- Więc dlaczego uciekłaś wczoraj?

- Eee... bo miałam coś w oku.

To nie było kłamstwo. Miała w oczach szkła kontaktowe.

- Dlatego wyszłaś przez okno łazienki i zostawiłaś mnie ze złamanym sercem?

- Nie miałeś złamanego serca.

- Ależ tak. - Mówił żartobliwym tonem, ale z wyrazu jego oczu wyczytała, że naprawdę zraniła jego dumę.

- Nie wiesz, że dziewczynkom lodowacieją czasem nogi ze strachu?

- Ach, więc to się stało. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Teraz też masz lodowate nogi?

- W każdym razie dość mokre. Zapomniałam włożyć wełniane skarpetki... W poradnikach turystycznych piszą, że to konieczne.

Wydał dziwny dźwięk. Tsk. Tsk. Cammie Jo zastanawiała się przez moment, o co mu właściwie chodzi.

- Z taką pamięcią nigdy nie będziesz idealną żoną i towarzyszką przygód.

- Ani ze swoją umiejętnością zjeżdżania z leśnych skarp.

- Fakt.

Leniwym ruchem wyjął z jej włosów kilka gałązek. Ileż to razy marzyła o takiej chwili, o mężczyźnie obejmującym ją właśnie w ten sposób?

- Wyobrażam sobie jednak, że musisz mieć inne talenty, kompensujące brak równowagi i pamięci.

- Tak myślisz?

Patrzyli sobie głęboko w oczy. Ani jedno, ani drugie nie mrugnęło, nie próbowało odwrócić wzroku.

- Tylko się domyślam. Ale... Tak, jestem pewien, że masz jakieś ukryte zdolności. Umiesz gotować?

- Nie.

- A szyć?

- Niestety nie.

- Masz głowę do rachunków?

- Przykro mi...

- Hmm, więc jesteś kompletnie pozbawiona talentów?

- Tego nie powiedziałam.

- Aaa. - Uniósł wysoko brwi.



- Pohamuj swoje zbereżne myśli, McCaulley.

- Skąd wiesz, o czym pomyślałem?

- Te zbójeckie błyski w twoich oczach...

W leśnym półmroku i chłodzie, kontrastującym z żarem i jasnością oczu Macka, ciało Cammie Jo ożyło jak rozkwitający kwiat.

- Chciałbym cię pocałować. Ale boję się wykonać pierwszy krok. Biorąc pod uwagę twoje lodowate stopy i w ogóle.

- To bardzo rozważne z twojej strony.

- To cały ja, pan Rozważny.

- Raczej pan Zarozumiały.

- To jak będzie? Zbieramy się stąd i gonimy naszą grupę czy...

- Czy co?

- Ty mi powiedz.

Miała dosyć tej zabawy w kotka i myszkę. Chciała się z nim całować, a nareszcie nie było żadnych przeszkód.

Pozwól sobie na małą przygodę. Użyj trochę życia.

Cammie Jo owinęła ręce wokół jego szyi, ułożyła się na ziemi i przyciągnęła go do siebie.

Camryn była spragniona jego pocałunków, o tak, ale było równie oczywiste zarówno teraz, jak i minionego wieczoru, że nie miała w tym doświadczenia. A jeśli była nowicjuską w całowaniu, czy to znaczyło, że w ogóle nie miała pojęcia o seksie? Mackowi nie mieściło się to w głowie - była przecież wystarczająco dorosła i wystarczająco atrakcyjna, żeby mieć na swoim koncie niejednego kochanka - ale jak inaczej mógł sobie wytłumaczyć jej brak doświadczenia?

Kiedy zsunął wargi z jej ust i przyssał się delikatnie do aksamitnej szyi, cała zeszywniała.

- Co...? Co ty mi robisz?

- Malutkie miłosne ukąszenie.

- To znaczy malinkę? - Głos miała lekko przerażony. Patrzyła na niego niepewnie.

- Coś w tym rodzaju. Gdybym ssał mocniej, wyszłaby malinka. Ale robienie tego w widocznym miejscu jest dziecinadą. Bez twojego pozwolenia nigdy bym sobie na to nie pozwolił.

- Och, dobrze wiedzieć.

- A co byś powiedziała na to? - Powędrował w górę szyi, wdychając upajający zapach sosny, mchu i kobiecego ciała, potem wolno, koniuszkiem języka, obrysował płatek jej ucha.

- Umm... - Zadrżała leciutko i poczuła mrowienie na karku. - Czy to jest to, co nazywają Mokrym Willym?

- Uhm, podoba ci się?

- Eee... chyba nie.

- Nie podniecam cię tym do szaleństwa?

- Szczerze mówiąc, wolę Suchego Hermana.

- A co to takiego?

- Żadnego jęzora w uchu! Mack parsknął śmiechem.

- Lubię twoją szczerość. Koniec z Mokrym Willym.

- Hej, wy tam na dole! Potrzebujecie pomocy? - rozległ się głos Caleba. Mack sturlał się z Camryn i zerwał się na równe nogi.

- Nie. - Przysłonił dłońmi oczy, spojrzał na szczyt skarpy i zobaczył dwadzieścia cztery roześmiane twarze.

- Nie, nie, radzimy sobie naprawdę świetnie, wszystko jest pod kontrolą.

- Ładnie to nazywacie. Wracacie z nami czy chcecie radzić sobie dalej?

- Już idziemy. - Mack westchnął. Akurat kiedy zaczęło być naprawdę ciekawie... Jak daleko mogłyby zajść sprawy, gdyby nie napatoczył się Caleb z grupą?

Niezbyt daleko. Nie masz przy sobie ani jednej prezerwatywy i na sto procent ona też nie, pomyślał.

Podeszli pod górę i wszyscy razem wrócili do autobusu. Mack usiadł koło Camryn.

- Może umówimy się na kolację? - spytał.

- Dzisiaj? Nie wiem. Chyba nie.

- Znów cię obleciał... ten lodowaty chłód w nogach? - Zaskoczyła go.

Myślał, że zgodzi się bez oporu.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziała z zagadkowym kocim uśmiechem.

Mack zamilkł. Był zdezorientowany. Chciała go czy nie? Jej pocałunki w lesie mówiły „tak, tak, tak”, ale jej usta teraz - „nie, nie, nie”.

- W porządku, nie ma sprawy. - Wyciągnął się w fotelu, krzyżując ręce na piersi.

- Właściwie... dlaczego by nie? Dobrze. Możemy gdzieś pójść.

O rany, co ja mam na siebie włożyć? Przejrzała po raz dziesiąty sukienki, które pożyczyła jej Kay. Wszystkie były tak piękne, że nie potrafiła się zdecydować. Lulu siedziała na podłodze, bębniąc ogonem i oglądając jej kolejne przymiarki.

Za każdym razem, kiedy Cammie Jo zakładała przez głowę sukienkę, zahaczała o amulet i w końcu, zniecierpliwiona, zdjęła naszyjnik i położyła go na łóżku.

Wybrała ostatecznie kreację dwuczęściową: jedwabną spódnicę w kolorze bladej lawendy z identyczną bluzką. Nucąc pod nosem, wyjęła z szuflady czystą bieliznę i udała się do łazienki na długą, relaksującą kąpiel w wannie.

Godzinę później, z gotową fryzurą i makijażem, owinięta w płaszcz kąpielowy, wróciła do pokoju i spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po siódmej. Zostawiła otwarte drzwi, żeby Lulu mogła wyjść, jak tylko zechce, i wyglądało na to, że pies sobie poszedł. Cammie Jo zamknęła drzwi i zaczęła się ubierać. Założyła spódnicę i bluzkę, potem rajstopy, pantofle na obcasach, a na koniec sięgnęła po naszyjnik.

Gdzie, u diabła...

Dziwne. Przysięgłaby, że zostawiła go na łóżku. Może przełożyła na toaletkę i zapomniała.

Nie. Nie na toaletkę. Zaczęła ogarniać ją panika. Rzuciła się na kolana i zajrzała pod łóżko. Rozgrzebała pościel, podniosła każdą poduszkę.

Nigdzie nie było jej naszyjnika.

Otworzyła wszystkie szuflady, przeszukała szafę.

Jakby go diabeł ogonem nakrył.

Jezu, nie.

Przerażenie chwyciło ją za gardło, gdy nagle sobie przypomniała, co Mack mówił o Lulu. Ta suka była kleptomanką.

Już wiedziała dokładnie, co się stało. Ten słodki syberyjski husky ukradł jej naszyjnik!

Spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Ostatni moment, żeby dać nogę. Mack nie mógł jej zobaczyć w tym stanie.

Szybkie spojrzenie w lustro nie pozostawiało cienia wątpliwości. Bidula z oklapniętymi ramionami zamiast wyprostowanej, pewnej siebie Camryn. Szopa na głowie, rozmazany tusz na powiekach, blade usta bez śladu szminki, którą w nerwach musiała po prostu zlizać. Wyglądała jak kupka nieszczęścia.

Miała tylko jedno wyjście. Odwołać randkę.

Na dnie torebki znalazła wizytówkę służbową Macka z jego telefonem. Drżącymi palcami wystukała numer i zostawiła wiadomość, że źle się czuje.

Co? Spławia go, odwołując w ostatniej chwili randkę? Mack, owinięty w ręcznik i ociekający wodą, wcisnął z furią klawisz automatycznej sekretarki, po raz trzeci odsłuchując wiadomość od Camryn.

Zadzwoił do pensjonatu Jake'a i poprosił o połączenie z jej pokojem.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Zapomnij o niej, McCaulley. Dla jednej kapryśnej kobiety nie warto tracić nerwów.

Dobra rada, ale w jego przypadku niezbyt skuteczna. Mógł tylko dumać, co zrobił nie tak.

Te kobiety! Przeczesał palcami włosy, wrócił do łazienki i błyskawicznie się ubrał. Może gdyby położył trochę po mieście, znalazłby ją w objęciach z jakimś innym facetem?

Mack zazgrzytał zębami. No i co by wtedy zrobił?

Nie, miał lepszy plan - wyciągnąć Jake'a na kilka piw do pubu, a potem rozejrzeć się za jakąś miłą panienką. Mało było w tym mieście kobiet, które aż się paliły, żeby umilić takim jak on kawalerskie życie?

Faktem było, że niektóre z tych kobiet miały zielone włosy, tatuaże i kolczyki w najdziwniejszych częściach ciała, ale co z tego? W tej chwili właśnie czegoś takiego potrzebował. Spędzić wieczór w towarzystwie wesołego kumpla, flirtując z każdą możliwą panienką, jaka się nawinie pod rękę.

Szkopuł w tym, że topienie smutków w piwie i towarzystwie kobiet nie było tak naprawdę w jego stylu. Mack w głębi duszy stworzony był do życia z jedną kobietą. Marzyło mu się owo „długo i szczęśliwie”, choć wątpił, czy to w ogóle istnieje. Bał się, żeby z wyborem żony nie poszło mu równie źle jak kiedyś jego ojcu.

Dlaczego? Bo wszystko na to wskazywało, że miał pociąg do kobiet zabawowych typu Camryn...

Tylko że Camryn wcale nie była taka szybka i chętna, jaką lubiła udawać. Zdradzały ją te nieporadne pocałunki. Mack wziął głęboki oddech, wstrzymał na chwilę powietrze i wypuścił je z długim świstem.

Tak czy inaczej, pomijając jej skłonność do uprawiania psychologicznych gier, Camryn była uosobieniem jego ideału partnerki życiowej.

Po prostu przestań o niej myśleć, natychmiast.

Łatwo powiedzieć.

Jadąc do Jake'a, starał się nie rozglądać i nie wypatrywać eleganckiego chodu Camryn. Zaparkował za pensjonatem i wszedł do środka tylnymi

drzwiami. Z korytarza wejściowego skręcił do kuchni, z której dochodziły jakieś głosy, i to, co zobaczył, zatrzymało go w pół kroku.

Jake i Camryn siedzieli przy kuchennym stole, tyłem do niego, pochyleni ku sobie, jakby w największej zażyłości, i bardzo cicho rozmawiali. Camryn miała upięte na czubku głowy włosy, ani ciekawie, ani starannie, ale to najwyraźniej nie zniechęcało Jake'a. W pewnej chwili wyciągnął rękę, poklepał Camryn po dłoni i wymruczał imię Macka.

Szeptali coś na jego temat!

Mackowi krew zastygła w żyłach. Nie przez stare wspomnienia, o nie. Tym, co sprawiło, że jego żołądek stanął w ogniu jak po najgorszym świństwie, był rodzinny obrazek tuż przed jego oczami. Najlepszy przyjaciel - że też właśnie on! - migdałący się z kobietą, na której jemu, Mackowi, naprawdę zależało.

Wyglądali tak rodzinnie, tak cholernie wzruszająco.

Porażony zazdrością, która odebrała mu oddech, Mack przemaszerował przez kuchnię i położył dłoń na ramieniu Camryn.

- Zbyt chora, żeby wyjść ze mną na kolację, ale wystarczająco zdrowa, żeby flirtować z Jakiem - powiedział twardym, nieswoim głosem.

Dopiero wtedy odwróciła głowę i Mack zrozumiał swoją pomyłkę.

To nie była Camryn. Miała takie same włosy o kolorze karmelizowanego cukru, ale na tym podobieństwa się kończyły. Camryn miała szmaragdowozielone oczy, a ta kobieta - bładoniebieskie, ledwie widoczne spoza grubych szkieł.

Miały podobne rysy, zgoda, ale Camryn tak elegancko przechylała na bok głowę, było w niej tyle dumy i pewności siebie. Ta kobieta, ze zwieszonymi ramionami, miała na sobie coś, w czym wytworna Camryn nie dałaby się złapać nawet we własnej kuchni. Szary sweter pod samą szyję i brązowe workowate sztruksy. I za nic nie spojrzałaby mu prosto w oczy.

Panna Strachajło.

Tammie Jo? Czy nie tak się przedstawiła?

Zmarszczył czoło. Taki rozrywkowy facet jak Jake nie mógł być zainteresowany jakąś szarą myszką. Czarus Jake jednym kiwnięciem palca powalał na kolana naprawdę piękne kobiety.

- Bardzo przepraszam. - Mack cofnął się o krok. - Szukałem innej kobiety.

Cammie Jo natychmiast odwróciła wzrok. Strach ustąpił miejsca bolesnemu rozczarowaniu. Było tak, jak sądziła. On chciał Camryn Josephine. Nie jej, Cammie Jo.

Ale musiało mu strasznie zależeć na Camryn, skoro przyszedł jej szukać aż tutaj... Na nowo podniecona, miała uczucie, jakby zawirował cały świat. -

- No tak - mruknął Jake. - Nie wiem, jak ty, ale ja nie widzę tutaj żadnych innych kobiet.

- Ja też nie widzę - odburknął.

- No, no... Kimkolwiek ona jest, musiała ci nieźle zależeć za skórę.

Cammie Jo, z oczami wlepionymi w blat stołu, bała się spojrzeć na Macka. Boże, nie pozwól, żeby mnie rozpoznał. Nie pozwól, żeby mnie rozpoznał. Dlaczego on mnie nie rozpoznaje?

- Owszem. - Mack westchnął, przeciągając ręką po włosach.

- A warta jest zachodu? Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem cię z takim obłędem w oczach.

Cammie Jo wstrzymała oddech i czekała na jego odpowiedź, starając się z całych sił pozostać niewidoczna.

- Ona jest piękna, Jake. Zjawiskowa.

- Z pięć setek kobiet, które zjechały do Bear Creek, pasuje jak ulał do tego opisu. Ale w czym problem?

- Ma fantastyczne ciało, jest bystra, dowcipna, odważna, z niesamowitą ikrą i wszystkim, co trzeba. Myślę, że umawia się jednocześnie z kimś innym.

Cammie Jo przygryzła dolną wargę. Poczowała się okropnie: nie miała zamiaru sprawić Mackowi przykrości.

- I co w tym złego? - spytał rozkosznie Jake. - Cały czas tak robię. Na ten weekend mam cztery... zaraz, niech policzę, cztery zaplanowane randki.

- Ale ja nie jestem tobą. Jestem stworzony do monogamii i chcę jednej kobiety, której wystarczy jeden mężczyzna.

Tak, pomyślała Cammie Jo. Chcesz tylko tej jednej kobiety, tylko że ona tak naprawdę nie istnieje.

- No to widzę, stary, że już poznałeś tę swoją jedyną.

- Jest wyjątkowa. Niesamowita!

- Chłopie, weź na wstrzymanie. Rozumiem, że strasznie ci się spieszy do ożenku, ale nie wpakuj się przez to w coś głupiego. Ochłoń trochę.

- Nie mogę jej znaleźć. - Mack jakby go nie słyszał.

Cammie Jo nie zamierzała tego dłużej znieść. Odsunąwszy krzesło, spojrzała na drzwi.

- Ja... Ja muszę już iść.

Mack odwrócił się do niej, z wyrazem oczu, który zdradzał okrutną prawdę - całkowicie zapomniał o jej istnieniu. Do tego była akurat przyzwyczajona.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Spóźniłeś się! - Tymi słowami Jimmy przywitał Macka następnego ranka na przystani.

- Coś podobnego.

- Ty się nigdy nie spóźniasz.

- Spóźniłem się dzisiaj. - Przez Camryn miał kłopoty z zaśnięciem.

- Gorączka imprezowej nocy?

- Nic z tych rzeczy - odburknął.

- Dlaczego? - Jimmy rozpląnął się w uśmiechu. - Trzeba korzystać z okazji. Ja ledwo żyję.

- Masz dopiero siedemnaście lat.

- Najlepszy wiek na używanie życia. - Jimmy uniósł jedną brew. - Muszę wam podziękować za to ogłoszenie. Z przyjemnością korzystam z jego skutków.

- Może z równą przyjemnością zabierzesz się do pracy? Zatankowałeś „Ednę Marie”?

- Oczywiście.

Mack wyjął z kieszeni ołówek i przebiegł wzrokiem listę zarezerwowanych lotów, którą wręczył mu Jimmy.

- Zgłosiła się dodatkowa pasażerka na lot do Juneau. Będziesz miał komplet.

W środy Mack latał na stałej trasie, przewożąc turystów na spływ pontonowy rzeką Mendenhall, tuż pod Juneau.

- Ach tak? - Wiedział tylko, że na liście są nazwiska studentek z korporacji żeńskiej z uniwersytetu w Las Vegas. - Jak się nazywa ta pasażerka?

- Camryn Josephine.

Omali nie wypuścił ołówka. Jasna cholera! Nie był gotów na kolejne starcie z Camryn. Potrzebował czasu na pozbieranie się, za bardzo go ta wczorajsza historia wyprowadziła z równowagi.

Spokojnie. Wyhamuj. Działaj z zimną krwią.

Do przystani podjechała taksówka i wysiadły z niej trzy kobiety. Dwie studentki i Camryn.

Ścisnęło go w dołku.

Studentki były w ciemnych słonecznych okularach i wszystkie trzy wyglądały na ostro niedysponowane po nocnej imprezie.

- Ooo... - Najgłośniej jęczała ta, która uszczypnęła go w tyłek. - O rany, chyba puszcze pawia.

- Nie, Deanne - krzyknęła jej pulchna przyjaciółka i posłała skruszone spojrzenie Mackowi. - Nie tutaj, nie przy Macku.

- Chcesz wrócić do pokoju? - spytała trzecia, Pam, podtrzymująca Deanne pod drugą rękę.

Nie! Nie zostawiajcie mnie samego z Camryn.

- W samolocie mam specjalne torebki...

Deanne uniosła na moment okulary i zerknęła krzywo na Macka.

- Spróbuję wytrzymać.

Mack zaprosił Deanne na przednie siedzenie. Camryn usadził tuż za sobą, żeby w czasie krótkiego lotu do Juneau mieć ją poza zasięgiem wzroku, a tym samym i myśli.

Błąd!

Zapomniał o zmyśle węchu. Jej świeży zapach wypełnił wnętrze kabiny. W rozpaczliwym odruchu Mack zaczął wstawiać rutynową gadkę dla turystów - o krajobrazie, o lodowcach, o pogodzie. Paplał jak najęty o wszystkim i niczym, byle tylko nie myśleć o Camryn.

Kiedy wreszcie wylądowali i Mack wysiadł, żeby zaprowadzić swoje pasażerki do autobusu, który miał je zawieźć nad rzekę, Camryn odciągnęła go na stronę.

- Możemy przez chwilę porozmawiać?

Byłoby aktem słodkiej zemsty powiedzieć „nie”, wskoczyć do samolotu i odlecieć, ale on tak naprawdę nie chciał tego zrobić. Poza że nie było sensu tak się wydurniać, bo za cztery godziny miał z nimi wracać do Bear Creek.

Planował zrobić w tym czasie duże zakupy.

Skinął głową na zgodę, wziął ją pod łokieć i powoli odeszli na bok.

- Przepraszam, że odwołałam wczoraj nasze spotkanie. - Wyglądała na zdenerwowaną i bez przerwy miętosiła ten swój dziwaczny naszyjnik.

- Nie ma sprawy, żałowałam straconego wieczoru, ale jeśli byłaś chora, to byłaś chora.

- Ja... Ja nie byłam chora.

- Ach nie?

- Nie.

Czekał.

Podniosła głowę i spojrzała mu śmiało w oczy. Nie mógł nie docenić jej odwagi.

- Odwołałam naszą randkę, bo się bałam.

- Bałaś się? - Zmrużył podejrzliwie oczy.

- Mack, ty mnie onieśmielasz.

- Ja? W jakim sensie?

Czyżby miała jakieś złe doświadczenia? Dlatego bała się angażować w nowy związek? Nie, bzdura, gdyby tak było, nie przyjechałaby na Alaskę szukać męża.

- Nie chodzi o to, że mi się nie podobasz. Chodzi o to, że podobasz mi się bardzo.

- To coś nowego.

- Boję się, że za szybko stracę głowę.

- Słonko, ja też się boję. Ale żeby się przekonać, czy z tego iskrzenia między nami coś wyniknie, musimy dać sobie szansę. Nie ma innego wyjścia. W tym życiu trzeba podejmować ryzyko, żeby do czegoś dojść.

- Nie wiem, czy jestem gotowa...

- I pójście ze mną na kolację byłoby zbyt trudne do zniesienia?

- Tak. Nie. Nie wiem.

- McCaulley! - zawołał mężczyzna z autobusu wycieczkowego.

- Pewnie są gotowi do odjazdu. Chodź, odprowadzę cię.

- Brakuje nam przewodnika spływu. - Mężczyzna zwrócił się do Macka z nadzieją w głosie. - Robiłeś to kiedyś, prawda?

- Tak.

- Jeśli masz czas, popłyn z nami. Oczywiście zapłacę. Mack się wahał.

- Nie daj się prosić - powiedziała Camryn. - Jedź z nami.

Udawał, że rozważa propozycję, ale już wiedział, że zrezygnuje z zakupów. - Zgoda.

Pół godziny później wyruszyli z przystani znajdującej się w górnym biegu Mendenhall, rzeki zasilanej wodą z lodowca. Ponad pięćdziesiąt osób z kilku wycieczek, wszyscy w kamizelkach ratunkowych, płynęło w wielkich sześciuosobowych pontonach.

Mack siedział z tyłu, sterując łodzią dużymi wiosłami, podczas gdy szóstka pasażerów miała do dyspozycji krótkie wiosła łopatkowe. Od bardzo dawna nie wiosłował i mimo że wyszedł z wprawy, mimo bólu mięśni, uświadomił sobie, że brakowało mu tego. I musiał przyznać, że naprawdę zaimponowała mu Camryn. Podejrzewał, że może być za delikatna, żeby się trochę pobrudzić i ryzykować powrót do domu z pęcherzami na dłoniach. Ale nie, nie bała się i wiosłowała dzielnie, śmiejąc się z samej siebie po pierwszych nieudanych próbach i ciesząc się jak dziecko, gdy zaczęło jej wychodzić.

- Mack, patrz na mnie! Patrz na mnie! - krzyczała, odwracając do niego głowę. - Zobacz, ja wiosłuję!

- Lepiej patrz na rzekę, Camryn - mówił wyważonym tonem, próbując zamaskować kłębiące się w nim uczucia i kłopotliwe, coraz bardziej rozpraszające uwagę podniecenie. - Możemy się wywrócić bez ostrzeżenia.

Camryn posłuchała i wbiła wzrok w nurt rzeki. Naszyjnik z totemem - który Jake znalazł w psiej budzie i zwrócił jej, nie mając pojęcia, ile ten przedmiot dla niej znaczy - spoczywał bezpośrednio na jej dekolcie, pod wełnianym swetrem, gumowanym sztormiakiem i kamizelką ratunkową. Tym razem nie miał prawa zginać, nawet gdyby ponton wywrócił się i wszyscy wpadli do wody.

- Uwaga, kochani, mimo ciepłego dnia temperatura wody nie przekracza pięciu stopni Celsjusza, więc myślę, że nikt z was nie marzy o kąpieli. Jeśli będziecie robić to, o co proszę, jest szansa, że wyjdziemy z tego na sucho - oświadczył Mack, gdy zbliżyli się huczącego, spienionego do białości odcinka rzeki.

Cammie Jo wpatrywała się jak zahipnotyzowana we wzburzoną wodę. Nie bała się ani trochę.

- Dalej! - krzyknęła.

- No to już.

I nagle znaleźli się w samym środku tego wszystkiego. Mack wykrzykiwał komendy, mówiąc im, kiedy wiosłować, kiedy przestać, a kiedy balastować ciałem na lewą albo prawą burtę. Niektórzy z ich grupy umierali ze strachu. Pam zaczęła płakać. Mężczyzna siedzący naprzeciw niej trzymał wiosło w konwulsyjnym uścisku, a jego twarz zbieleła jak kreda.

Łup. Szast. Plusk.

Zimna woda zalewała jej twarz. Cammie Jo przechyliła w tył głowę i pisnęła z teksańskim nosowym zaśpiewem:

- Ju-huu!

- Ju-huu! - dobiegła odpowiedź z tyłu łodzi.

Roześmiana, odwróciła się, żeby zobaczyć, jak Mack na nią patrzy. I pokazała mu język.

Dokładnie wtedy, gdy Mack pozwolił sobie na moment nieuwagi, zniosło ich w bok, prosto na wielką czarną skałę wystającą na metr ponad powierzchnię wody.

- Uważaj! - ktoś krzyknął. Ale było za późno.

Ponton uderzył dziobem w skałę i stanął dęba. Zdawało się, że mnóstwo rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

- Wszyscy zginiemy! - krzyczała skacowana studentka z Las Vegas.

- Trzymajcie się! - rozkazał Mack, próbując odzyskać panowanie nad łodzią.

Cammie Jo czuła ciężar amuletu na piersi i śmiała się na cały głos.

- Jesteś szalona! - wrzeszczała studentka.

Ponton zrobił gwałtowny obrót w powietrzu. Pasażerowie wyskoczyli z siedzeń. Następną rzeczą, z której Cammie Jo zdała sobie sprawę, był fakt, że znajduje się pod wodą.

W bezpiecznej kamizelce ratunkowej natychmiast wypłynęła na powierzchnię, z włosami przyklejonymi do głowy, kompletnie zmoczona.

Woda rzucała nią o skały, ale szczęśliwie nie było tam zbyt głęboko. Prawdopodobnie metr, metr dwadzieścia, nie więcej. Tylko że prąd był tak silny, że nie mogła ustać na nogach.

Rozejrzała się dookoła, zobaczyła, że łódź jest na mieliźnie przy brzegu, kilka metrów dalej. Mack był zajęty wyciąganiem ludzi z wody.

Cammie uchwyciła się skały i gapiała się na niego jak urzeczona. Po prostu nie mogła sobie odmówić, to było silniejsze od niej.

Ale też było na co patrzeć. Wyglądał jak generał polowy, panujący nad wszystkim i wydający rozkazy. Kiedy wynosił na brzeg Pam, dziewczynę

więcej niż solidnej budowy, można było odnieść wrażenie, że nie wyteżył przy tym jednego mięśnia. Miał w sobie coś niebywale fascynującego.

Zaczęła się zastanawiać, jaki jest w łóżku? Czy równie władczy?

Zadrżała.

Postawiwszy na twardym gruncie dziewczynę, Mack zaczął się rozglądać. Cammie Jo zdała sobie sprawę, że jest jedyną jego podopieczną, która została w wodzie, a ponieważ schowała się za skałą, on jej prawdopodobnie nie widzi.

Stał w szerokim rozkroku, z rękami na biodrach, i wypatrywał jej, marszcząc nerwowo czoło. W końcu zaczął chodzić wzdłuż brzegu.

- Camryn! - Jego głos również zdradzał niepokój.

Podciągnęła się wyżej, żeby mógł ją zobaczyć. Ich spojrzenia się spotkały.

Cammie Jo nie była w stanie odwrócić wzroku. Nie chciała odwracać wzroku.

Szedł do niej, zanurzając się po pas w zimnej, rwącej wodzie. A Cammie Jo uświadomiła sobie nagle, że zęby jej szcękają, a sutki pod warstwą mokrych ubrań były twarde jak kamienie.

W wyrazie jego twarzy dostrzegła dziwną kombinację nagany i troski. Przeszył ją lekki dreszczyk strachu. Czyżby był na nią wściekły?

Nie, to nie mógł być strach. Przecież wciąż miała przy sobie amulet. To nieznanne uczucie było czymś innym.

Podnieceniem seksualnym? Pożądaniem?

Nabrała powietrza w płuca.

Dopadł do niej, chwycił na ręce i zarzucił na swoje barczyste plecy, jak gdyby ważyła nie więcej niż wiązka chrustu.

O, niebo gwiaździste!

Prawie straciła oddech. Wiedziała, że mięśniów mógłby mu pozazdrościć niejeden fanatyk sprawności fizycznej, ale na taką bliskość nie była przygotowana. Tylko ta głupia kamizelka ratunkowa wchodziła w paradę,

tłumiąc doznanie, które mogło być jeszcze intensywniejsze. Ale co tam, brała tyle, ile się dało.

- To wszystko twoja wina - jęknął na wydechu. - Miej tego świadomość, jeśli przypadkiem dostaniesz zapalenia płuc. Czego ci nie życzę.

- J-j-jak to... m-moja w-wina? C-co ja t-takiego zro... zrobiłam? - wydukała, szczękając zębami.

- Wczoraj wieczorem wystawiłaś mnie do wiatru. Cały czas mnie rozpraszasz, łypiesz na mnie tymi maślanymi oczami, kiedy powinienem być skupiony na swojej robocie.

- Więc to moja wina, że nie potrafisz się skoncentrować dłużej niż komar?

- Tak, właśnie.

Usłyszała wesoły ton w jego głosie, pomyślała z ulgą, że Mack wcale nie jest na nią wściekły.

- Kto tu do kogo powinien mieć pretensje? To przez ciebie robię maślane oczy.

- Ciekawe dlaczego.

- Siedzisz sobie z tyłu, wykrzykujesz komendy jak kapitan na statku, a ja dostaję gęziej skórki na plecach. Powinieneś wiedzieć, że kobiety lgną do silnych typów.

- Przeze mnie dostajesz gęziej skórki?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- Myślisz, że jestem silnym typem?

- Chcesz usłyszeć komplement? Nic z tego.

- Za późno, powiedziałaś już, że jestem jak kapitan na statku.

- Nie bierz sobie tego do serca.

Jednym ruchem postawił Camryn przy pozostałych rozbitkach, puścił do niej oko i odszedł do przewróconego pontonu. Bez wysiłku obrócił łódź i doholował ją do brzegu.

- Wszyscy do środka.



- O, nie - jęknęła histeryczna studentka. - Ja odpadam.

- Albo płyniemy dalej, albo idziemy sześć kilometrów przez las. Zresztą najgorsze mamy za sobą, a niedaleko, dosłownie kawałek w dół rzeki, jest obozowisko, w którym można się ogrzać przy ogniu, wysuszyć i skorzystać z fantastycznego bufetu. No, załoga na pokład.

Studentki gapiły się na niego z tak bezgranicznym uwielbieniem, że Cammie Jo zaczęły przychodzić do głowy nieeleganckie myśli.

Precz z gałami od mojego mężczyzny.

Mojego mężczyzny? Skąd to dobre samopoczucie? Cammie Jo nie mogła oderwać oczu od Macka, choć on wytrwale unikał spojrzenia na nią jeszcze raz.

Co się za tym kryło?

Wszyscy weszli do pontonu i powiosłowali w dół rzeki. Tym razem obyło się bez przygód i w dwadzieścia minut dotarli do obozowiska, w którym czekali na nich pozostali wycieczkowicze.

Cammie Jo wciąż trzęsa się jak galareta. Przykucnąwszy przy ognisku, na zmianę ogrzewała dłonie i kulila się, rozcierając ramiona. Ktoś podał jej grzańca z jabłkowego cydru. Z wdzięcznością wypila cały kubek. Pycha.

Imponująco wyglądał stół z przekąskami: był wędzony łosoś, sery, krakersy, kiełbasa z mięsa karibu, jabłkowe chipsy. Jednak Cammie Jo za bardzo trzęsa się z zimna, żeby coś przełknąć. Przedsiębiorczy sprzedawca T-shirtów ustawił swój kramik tuż przy jedzeniu i sprzedawał bluzy z napisem: „Pokonałem Mendenhall i przeżyłem”.

Mack podszedł do mężczyzny, żeby coś kupić. Dziwne, on zainteresowany pamiątkami dla turystów? Odwrócił się, jakby poczuł na sobie jej wzrok, i kiwnął palcem.

- Ja? - wymówiła bezgłośnie, dotykając otwartą dłonią piersi.

Skinał potakująco głową.

O, a to ciekawostka. Odeszła od ogniska, cisnęła do kosza papierowy kubek i w ślad za Mackiem ruszyła na skraj lasu otaczającego niewielkie obozowisko.

Wziął ją za rękę i poprowadził dalej, aż znikli za drzewami z pola widzenia wszystkich innych.

- O co chodzi? - wyszeptała, nie bardzo wiedząc, dlaczego nie mówi normalnie.

- Suche ubranie. - Podał jej torbę, którą dostał od sprzedawcy T-shirtów.

Zajrzała do środka. W środku były dwie bluzy, jedna wielka, druga mała, spodnie dresowe i para wełnianych skarpetek.

- Kupiłeś mi suche ubranie? - Nie była pewna, czy mocniej ścisnęło ją w gardle, czy w żołądku. - To miłe z twojej strony.

- Nie mógłbym cię takiej mokrej wpuścić do samolotu.

Patrzyła nieruchomo, gdy zdejmował swoją mokrą kurtkę i T-shirt. Szczęka wypadła jej z zawiasów, oczy wyszły na wierzch, kompletnie zapomniała o tym, że jest zmarznięta i przemoczona do suchej nitki.

Glory, glory, alleluja!

Owszem, widziała wcześniej jego nagi tors. Na zdjęciu w gazecie. Ale tanto banalne, pozbawione głębi ujęcie nijak się nie miało do żywego modela. Zresztą nic, najwspanialsze nawet zdjęcie nie mogłoby jej przygotować na ten zachwycający widok. Mimo że jego włosy na głowie miały kolor mlecznej czekolady, owłosienie torsu było kruczoczarne, kręcone, ale nie nazbyt gęste. Idealne, dokładnie takie, jak być powinno. Zwężająca się ku dołowi ciemna smuga okrążała pępek i nikła za paskiem spodni.

Czuła tak silną pokusę, żeby wyciągnąć rękę i przebiec palcami po tej męskiej goliźnie, że z wrażenia zabrakło jej tchu. Coś musiało być w tym chłodnym górskim powietrzu.

Tak, to na pewno to. Górski klimat.

To nie pokaz męskiej urody sprawił, że miała nogi jak z waty.

Mack przyglądał się Cammie Jo kątem oka, doskonale świadomy, co się z nią dzieje. I jakoś dziwnie zwlekał z ubraniem się.

Barbarzyńca.

Wyjęła z torby bluzę rozmiaru XL i cisnęła mu ją do rąk. Pochłaniała go wzrokiem mimo woli.

- Na litość boską, włóż to.

- Po co?

- Bo ktoś cię może zobaczyć.

- Ktoś mnie już zobaczył. - Zrobił krok do przodu. - Masz pojęcie, jak cudownie wyglądasz, taka mokra i potargana?

- Nie. - Odgarnęła z twarzy mokre włosy.

- Ale ja wiem. Wyglądasz jak dziewczyna z buszu.

- I to cię kręci?

- Och, kotku, żebyś wiedziała.

Pochylił się i była pewna, że chce ją pocałować, ale ona się przestraszyła, że w tym niechlujnym stanie może zbyt bardzo przypominać Cammie Jo i w końcu Mack skojarzy fakty.

- Jest tu gdzieś miejsce, w którym mogłabym się przebrać? - spytała w popłochu.

- Tutaj, gdziekolwiek.

- Nie mogę rozebrać się do naga w krzakach.

- Będę stał na straży.

Cammie Jo rozejrzała się dookoła. Reszta grupy była kilkadziesiąt metrów dalej, na polanie, i nikt nie zdawał się zwracać na nich uwagi.

- Dobra, ale żadnego podglądania.

- Eee, psujesz mi całą przyjemność.

- Obiecuj. - Pogroziła mu palcem przed samą twarzą.

- Obiecuję. - Mack uśmiechnął się, jakby nie miał zamiaru dotrzymać słowa.

Przedarła się przez kilka krzaków, usiłując znaleźć bardziej ustronne miejsce. Gdy usłyszała szelest za plecami, odwróciła się gwałtownie.

- Mack - krzyknęła. - Mówię poważnie. Żadnego podglądania.

- Nie podglądam. Przestań zachowywać się jak paranoiczka.

Odeszła kilka kroków dalej. Tu chyba będzie dobrze. Stąd ledwie widziała Macka, a to oznaczało, że on też nie mógł jej widzieć. Opierając się o skałę, zdjęła buty i skarpetki, potem wyplątała się z mokrych spodni i powiesiła je na pobliskiej gałęzi. Następna była bluzka. Odwróciła się i sięgnęła po torbę, którą położyła na ziemi.

I znalazła się nos w nos z potężnym czarnym niedźwiedziem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Eee... Mack.

- Przysięgam na „Ednę Marie”, że nie podglądam!

- Mack, nie o to chodzi.

- To o co?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Co się dzieje?

- Na torbie z moimi dresami siedzi niedźwiedź.

- Co?!

Mack przedzierał się przez krzaki, wymyślając sobie od najgorszych za to, że zostawił w samolocie pakiet ratunkowy ze sprayem odstraszającym niedźwiedzie.

Stała za drzewem, zasłaniając mokrymi spodniami prawie nagie ciało, bosa, w tym swoim paskudnym naszyjniku. Na jej twarzy nie widać było ani cienia strachu, raczej zakłopotanie z powodu kompromitującej sytuacji, w jakiej się znalazła.

To go naprawdę zaskoczyło. Większość kobiet w konfrontacji z niedźwiedziem wrzeszczałyby albo uciekała, i byłoby to całkowicie usprawiedliwione. Camryn, nie ruszając się z miejsca, spokojnie przywołała pomoc.

Czarny niedźwiedź stał na tylnych łapach i węszył. Gdy otworzył paszczę i wydał pomruk zaciekawienia, Mack westchnął z ulgą i zaczął się śmiać.

- Co cię tak śmieszy? - Camryn skrzywiła się. - Ten niedźwiedź chce nosić dresy, które kupiłeś dla mnie.

Mack podszedł do niedźwiedzia, przeganiając go obiema rękami jak natrętną kure.

- No, koniec zabawy. Sio. Zmiataj stąd, Leroy.

- Leroy? Tylko nie mów, że nadajesz mu imię.

- On ma już imię.

- Co?

Niedźwiedź opadł na cztery łapy. Mack schylił się i podniósł z ziemi torbę.

- Tu nie ma nic do jedzenia, głupolu. A nawet gdyby było, jak byś to zjadł bez zębów? Idź sobie. No już.

Leroy kiwnął łbem i podreptał w głąb lasu.

- On w ogóle nie ma zębów? - Camryn odsunęła się niepewnie od drzewa.

- Ani jednego. Wszyscy tu znają Leroya i go karmią. Nie wyżyłby biedaczysko bez pomocy, nie ma czym gryźć. Pewnie myślał, że przyniosłaś mu coś dobrego.

Camryn roześmiała się i pokręciła głową.

- Wierzyć mi się nie chce, że nie przestraszyłaś się wielkiego niedźwiedzia.

- No wiesz, nie powiem, żebym była tak całkiem spokojna. Ale wydał mi się niegroźny.

Mimo najlepszych intencji Mack nie mógł oderwać od niej głodnych oczu. No dobrze, to było coś więcej niż pożeranie wzrokiem. On ją tym wzrokiem niemal gwałcił. To było nieprzyzwoite. Wiedział o tym. Camryn była bezbronna i obnażona, ale, na litość boską, nie mógł przestać jej pragnąć.

Błądził oczami po jej nagich ramionach, szyi, pełnych piersiach osłoniętych białym biustonoszem. Chyba nigdy nie widział tak seksownej bielizny. Powiódł wzrokiem niżej, poprzez talię i biodra do fragmentu rowka między udami, którego nie zasłoniły jej mokre spodnie. Camryn chrząknęła znacząco.

- Och... - Cholera, żeby dorosły facet czerwieniał się jak pensjonarka. Odwrócił się. Co tu jest grane? Poprzedniego wieczoru skreślił ją z listy, uznając, że nie jest typem kobiety na całe życie. Nie dla niego. Ale jej dzisiejsze zachowanie sprawiło, że czuł się bardziej skołowany niż kiedykolwiek dotąd. Niczego już nie był pewien.

Nie pamiętał, żeby jakaś kobieta zrobiła na nim aż takie wrażenie jak ta. Jej brawura podniecała go skuteczniej niż ostrygi i kawior. Ale... Czy przypadkiem chęć ożenienia się nie pozbawiła go krytycyzmu? Czy nie patrzył na tę kobietę przez różowe okulary? Czy nie widział w niej tego, co chciał widzieć?

- W porządku. Możesz się odwrócić - powiedziała zdyszonym głosem.

Camryn była kompletnie ubrana. Dziękował za to opatrności.

- Lepiej wracajmy. Autobus odjeżdża za kilkanaście minut.

- Jasne. Ale mogę cię o coś prosić?

- Skarbie, możesz mnie prosić, o co chcesz.

- Zjedz ze mną jutro kolację - powiedziała z błyskiem w oku. - Ja stawiam.

- Nie złodowaciej ci stopy jak wczoraj? - spytał lekkim tonem, choć w środku dygotał z przejęcia.

- Włożę trzy pary wełnianych skarpetek.

Camie Jo była kobietą odmienioną. Randka z Mackiem doszła do skutku, naszyjnik z totemem wisiał na jej szyi. Czuła się wolna i atrakcyjna i, och, taka śmiała! Miała na sobie seksowną czerwoną sukienkę, którą kupiła poprzedniego dnia w Juneau. Od Kay pożyczyła czerwone szpilki na paski.

Szykowała się na najbardziej niebezpieczną przygodę swojego życia. Wczoraj rano podjęła decyzję. Postanowiła uwieść Macka, choćby się waliło, paliło. Zamierzała podjąć ryzyko, rzucić kostką, zakręcić kołem ruletki.

Wydobycie ze stanu hibernacji własnej seksualności składało się na jej plan odkrywania siebie, a nie wyobrażała sobie lepszego pierwszego kochanka niż Mack. Miał cudowne poczucie humoru, żywy temperament i zamiłowanie do przygód. Był lojalny, dobrze wychowany i troskliwy. Był silny i odważny. Nie mówiąc o tym, że był z niego kawał obłędnie przystojnego faceta...

No więc stało się, wylądowali u niego. Uraczyli się wystawną kolacją z grillowanym łososiem, szczypcami królewskiego kraba i sernikiem na deser. Rozmawiali o wszystkim, o tysiącu spraw, począwszy od jej pracy, a skończywszy na fantastycznej babci, która wychowała Macka i z którą porównywał wszystkie poznane kobiety.

Spacerowali wzdłuż brzegu przed jego chatą. Powinna być zdenerwowana, a nie była. Przede wszystkim nie mogła wyjść ze zdumienia, że jest na prawdziwej randce z atrakcyjnym mężczyzną. Gdyby mogły ją teraz widzieć jej ciotki! Ten magiczny amulet naprawdę miał moc czarodziejskiej różdżki.

- Jak tu pięknie - westchnęła.

Dziesiąta wieczór, a wciąż jasno świeciło słońce. Chmury unosiły się nad górskimi przełęczami, poniżej szczytów, woda miała kolor lodowato zimnego błękitu. Para bielików śmigła między gałęziami niebosiężnych sosen, nawołując się nawzajem.

- Dzień w dzień to sobie powtarzam.

- Mieszkasz w Bear Creek od dziecka?

- Tak, od urodzenia.

- Jak to jest, dorastać w takim miejscu?

- Fantastycznie. Chociaż wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Czasem po prostu czujesz, jak plotka rodzi się i dyszy za twoimi plecami. Ale nikt nikomu nie chce zrobić krzywdy.

- Planowałaś kiedyś stąd wyjechać?

- Nie, nigdy - odpowiedział stanowczo. - Tam, skąd ty jesteś, musi być zupełnie inaczej.

Skinęła tylko głową, obawiając się, że jeśli powie za dużo, zdradzi jakieś szczegóły z introwertycznego życia Cammie Jo, które ją zdemaskują.

- Tutaj jest milion razy piękniej.

- Myślisz, że mogłabyś żyć na Alasce? Niewidoczna ręka ścisnęła ją za gardło. Niczego nie

pragnęłaby bardziej niż przenieść się tu na dobre, a jedyną przeszkodą były jej ciotki.

- Nie wiem.

Kiwnął głową i przestał chodzić. Ona też się zatrzymała, nie cofając dłoni splecionej palcami z jego dłonią. Mack przyciągnął ją delikatnie i otoczył ramionami. Plusk wody nakładał się w jej uszach na łomot własnego pulsu.

Pochylił głowę. Ona wspięła się na palce.

Ich usta się połączyły.

Dobrze, a więc ich usta zderzyły się czołowo niczym jadące z podobną prędkością samochody. Aż tak byli siebie głodni i zmęczeni zachowywaniem pozorów.

Owinęła ręce wokół jego szyi. On zanurzył palce w jej włosach. Od zawsze tego chciała, nie zdając sobie sprawy, jak silne jest jej pragnienie.

Całowali się z filmową namiętnością, gorączkowo i niecierpliwie. Jego zapach mieszał się z zapachem Alaski. Morska bryza i mydło. Sosna i miętowa pasta do zębów. Odurzona kompozycją woni, Cammie Jo wiedziała, że nigdy



nie będzie w stanie oddzielić tego mężczyzny od tego miejsca na ziemi. Mack był Alaską. Alaska była Mackiem.

I wtedy sama Alaska brutalnie zakłóciła miły nastrój.

Najpierw pojawił się niski bzyzący dźwięk, natrętny i monotony. Przez moment Cammie Jo myślała, że to intensywność pocałunków Macka sprawia, że dzwoni jej w uszach.

Potem poczuła pierwsze bolesne ukłucie. I następne. I jeszcze jedno.

Co się dzieje? Otworzyła szeroko oczy. O rany, czym mogła być ta czarna otaczająca ich chmura? To się ruszało. Owady wielkości kolibrów.

Mack jęknął, złapał ją za rękę w tej samej sekundzie, w której doznała olśnienia. Komary. Ktokolwiek twierdził, że w Teksasie wszystkie stworzenia są dorodniejsze, z pewnością nie widział alaskiego komara!

- Uciekamy - powiedział. - To świństwo potrafi wyssać z człowieka ćwiartkę krwi w pięć minut.

- Przesadzasz, prawda? - spytała w biegu.

- Tylko trochę.

Gdy wpadli do domu i Mack zatrzasnął za sobą drzwi, Cammie Jo poczuła się jak pasażerka dyliżansu atakowanego przez Indian.

- To jak z Hitchcocka - wysapała.

- Alaskie komary są wyjątkowo wredne. - Odwrócił się do niej. - Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

- Jasne. Kto by się bał dalekich kuzynów Drakuli?

- No dobrze - powiedział ze śmiechem - zajmijmy się tymi ukąszeniami. Jeżeli od razu potraktujemy je spirytusem i specjalnym płynem, nie spuchniesz i prawie nie będzie cię swędziało.

- Naprawdę?

- Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do łazienki, posadził na opuszczonej klapie toalety, a potem wyjął co trzeba z apteczki i ukucnął przed Cammie Jo.

- No, pokaż buzię. Nie jest tak źle - mruknął, oglądając jej twarz. -

Dziesięć, dwanaście śladów najwyżej.

- Dziesięć, dwanaście! - Cammie Jo poderwała rękę ku twarzy. - Chyba w całym swoim życiu nie miałam dziesięciu ukąszeń komara.

Wyłącznie dlatego, że prawie nie wychodziła na zewnątrz, ale o tym nie musiał wiedzieć.

- Żadnego drapania. - Chwyił jej dłoń i zamknął w swojej. - Najgorsza rzecz, jaką możesz zrobić.

- Domyślam się, że doświadczyłeś tego na własnej skórze.

- Kiedyś w dzieciństwie poszedłem z chłopakami na ryby, to był wieczór, i nadzialiśmy się na chmurę komarów. Zanim wróciliśmy do domu, byliśmy cali spuchnięci. Wszyscy dostaliśmy gorączki i było z nami naprawdę kiepsko. Niepowtarzalne przeżycie... Tak. Mam nadzieję, że bolesne doświadczenie mojej zmarnowanej młodości będzie nauką dla ciebie.

- Co za szlachetność - zakpiła.

- Ani krzty współczucia? Nie zmiękczyłem twojego serca tym heroicznym gestem?

Zmiękczyłeś, pomyślała. Bardziej niż się domyślasz.

- Nic a nic - skłamała przez zęby.

Mack zwilżył wacik spirytusem i delikatnie przetarł zaczerwienienia na jej skórze.

- A teraz caladryl, to złagodzi swędzenie i uchroni przed podrapaniem tę piękną buzię. - Mruczał coraz bardziej ochrypłym głosem. Posmarował ją różowym płynem. Szyję, czoło, policzki. Kiedy skończył, odchylił się na piętach.

- Moja kolej - powiedziała i wyjęła mu z rąk buteleczki. Uśmiechnęła się do niego.

Swoboda, z jaką go dotykała swoimi delikatnymi, ale wprawnymi palcami przejęła go dreszczem podniecenia. Oddychał głęboko. Nagle, na wspomnienie jej cudownego smaku zaczął palić go język. Chciał pocałować ją znowu.

- Wyglądasz, jakbyś miał odrę - zachichotała.

- Ja? - Wstał i pociągnął ją za sobą. - Spójrz w lustro.

Spojrzeli oboje, najpierw na odbicia swoich twarzy, a potem na siebie nawzajem.

Camryn wyglądała uroczo, z wacikiem w jednej ręce, buteleczką w drugiej i z tym głupim amuletem na szyi. Nie uszło uwagi Macka, że wpatrywała się w jego usta, na szczęście ocalone od ataku krwiożerczych komarów. Miała seksownie zmierzwione włosy. I twarz w różowe kropki. Sięgała mu zaledwie do ramion. Ta jej filigranowość sprawiała, że czuł się silny i męski. Jak gdyby był w stanie ją przed czymś obronić.

Oczywiście nie licząc komarów.

- Daj mi to. - Odłożył na półkę wacik i płyn na ukąszenia, potem odwrócił się, przygarnął ją do siebie i zamknął w objęciach.

Na początku randki nie zamierzał przyprowadzić Camryn do swojego domu. Nie dlatego, że jej tu nie chciał, ale właśnie dlatego, że chciał. Pragnął jej tak bardzo, że nie dowierzał samemu sobie i bał się znaleźć z nią sam na sam w domu.

Z tą kobietą nie chciał popełnić błędu. Musiał być pewien. Wylądowanie w sypialni mogłoby ich popchnąć do czegoś, czemu oboje nie byli gotowi sprostać - był tego równie pewien jak własnego imienia i nazwiska.

Ale mimo całego swojego zdrowego rozsądku i doświadczenia, na przekór wszelkim racjonalnym argumentom, Mack po prostu musiał posmakować tych ust jeszcze raz, doskonale wiedząc, że pcha się w tarapaty.

Z drugiej strony, nigdy nie stronił od niebezpieczeństw.

Nigdy nie czuł się bardziej w swoim żywiole, niż kiedy poddawał próbie siłę własnego charakteru. Tylko że do tej pory sprawdzał się w umiejętnościach

związanych z niebezpieczeństwem fizycznym. Jak pilotowanie samolotu w ryzykownych warunkach, samotna wyprawa na lodowiec czy lato spędzone na Morzu Północnym z poławiaczami alaskiego kraba królewskiego.

Ale nigdy tak naprawdę nie eksperymentował ze swoją odpornością emocjonalną.

Camryn wyczuła jego niepewność i w końcu wzięła sprawy w swoje ręce. Dzielna, śmiała Camryn zaimponowała mu swoją determinacją, wspinając się na palce i kładąc wargi na jego ustach.

Był stracony.

Mrucząc gardłowo, Mack przytulił ją ciasno do swojego torsu.

Camryn topniała w jego ramionach. Miała wrażenie, że tu było od zawsze jej miejsce.

Schylił się i pocałował jej szyję nad obojczykiem.

Jęknęła i wpiła palce w jego ramiona, żeby utrzymać równowagę. Rosnąca wypukłość napierająca na jej płaski brzuch wprowadziła Cammie Jo w oszołomienie. Za każdym razem, kiedy się do niej zbliżał, jego ciało stawało się twarde jak kamień.

Jej ciche pomrukiwanie wzmagało w nim żądzę. Powinien uważać. Zdawał sobie sprawę, że się zapędził, ale co miał na to poradzić? Nie mógł się nagle wycofać, odsunąć od niej i uciec.

Camryn garnęła się do niego, poruszając zmysłowo biodrami, być może nie wiedząc, że doprowadza go do kresu wytrzymałości. Cała rozpalona, nie była ani trochę speszona swoim podnieceniem. Gdyby nie szukał żony, gdyby poznał tę dziewczynę choćby rok temu, wziąłby ją łatwo, bez tej drobiazgowej analizy intencji i pożądania.

Ale sam sobie odebrał wolność korzystania z każdej możliwej okazji na dobry seks. Chciał czegoś więcej od życia, chciał czegoś więcej od Camryn. Chciał założyć rodzinę.

Wyglądało jednak na to, że słodka Camryn gotowa była na wszystko, żeby skłonić go do przekroczenia granicy rozsądku. Przebiegła językiem po jego podbródku, drżącymi palcami przeczesła włosy na szczycie torsu.

Och, do diabła z tym. Ona pragnęła jego, on pragnął jej. Konsekwencjami mógł zająć się później. Na razie był nieprzytomny z podniecenia i jedyne, o czym mógł myśleć, to jej gorące, spragnione ciało, w którym chciał się głęboko, głęboko zanurzyć.

Przyciągnął ją bliżej po chwili oddechu i znów była między nimi ta obrzydliwa figurka. Za każdym razem, kiedy się całowali, ten idiotyczny przedmiot dźgał go w tors. Co jej się mogło podobać w tym perwersyjnym wisiorku? To nie było w jej stylu.

Zirytowany, chciał zdjąć naszyjnik przez jej głowę, ale zobaczył, że guzik jego koszuli zaplątał się w żyłkę. Dysząc chrapliwie, próbował go uwolnić spomiędzy koralików. Daremnie.

- Mack, co ty robisz?

- Jesteśmy szczepieni.

- Daj, ja to zrobię. - Sięgnęła do guzika. Ich palce się zetknęły.

- Poczekaj. Ale się zaplątał...

O Boże, Boże święty, co ja mam zrobić?

Manewrując tułowiem, podniósł ręce i zdjął koszulę, jednocześnie ściągając naszyjnik przez jej głowę. Cammie Jo westchnęła głośno i chwyciła się za szyję.

Nie. Nie! Co teraz? Co robić?

- No, wreszcie. - Cisnął koszulę razem z naszyjnikiem przez cały pokój. Zdrętwiała, wciągnęła w płuca powietrze. Głęboko. Raz. Drugi. I trzeci. Mack uśmiechnął się szatańsko i zamknął jej usta pocałunkiem.

- Więc o czym to mówiliśmy?

Wszystkie stare lęki zaczęły tłoczyć się do jej umysłu. Pozbawiona amuletu Cammie Jo jakby wracała do rzeczywistości po hipnotycznym śnie.

Była sama w domu mężczyzny. Niesamowite. Naprawdę chciała pójść do łóżka z facetem, którego знаła dopiero cztery dni?

Ogarnęła ją panika. Było jej niedobrze, strasznie gorąco i słabo jednocześnie. To straszne, myślała, okropne. W jednej chwili była Camryn, śmiałą, atrakcyjną, przebojową kobietą zdobywającą bez trudu mężczyznę swojego życia, i nagle, niczym Kopciuszek z wybiciem północy, na powrót stawała się Cammie Jo.

Ale Mack wciąż ją całował, jak gdyby północ jeszcze nie wybiła, jak gdyby nie miał pojęcia, że karetka zamieniła się już w dynię.

Uciekaj, Cammie Jo, uciekaj. Zanim on dowie się prawdy.

Nie była w stanie się poruszyć. Nogi miała jak z waty. Mack trzymał ją mocno w objęciach, dokonując cudów pomysłowości swoim zwinnym językiem.

Bądź dzielna, mówiła sobie. Ale bez amuletu nie było mowy o odwadze.

- Jesteś taka piękna, Camryn. - Musnął brodą jej szyję, opuszkami palców pogładził kark. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Nie jesteś Camryn. Uciekaj. Natychmiast.

Jedną ręką zaczął rozpinać guziki jej sukienki.

Pomocy!

Żołądek podjeżdżał jej do gardła. Nie mogła wydusić słowa, nie mogła się zdobyć nawet na tyle odwagi, żeby powiedzieć mu, że zmieniła zdanie.

Zagarnął oburącz jej pośladki i przyciągnął do siebie dzikim, zachłannym gestem. Jego męski zapach uderzył ją w nozdrza. Jego smak wypełnił jej usta. Mruczając i pojękując, nacierał na nią rytmicznie biodrami.

Był naprawdę twardy.

I naprawdę duży.

Za wiele tego było jak na biedną nieśmiałą Cammie Jo Lockhart z Austin w Teksasie, wychowaną przez trzy stare panny.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała w brązowe oczy Macka - i zemdłała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

No, nieźle. Po raz pierwszy jego pocałunki przyprawiły kobietę o utratę przytomności.

I znów go poraził paradoks Camryn Josephine. Z jednej strony sprawiała wrażenie osoby wyrafinowanej, obytej w świecie i doskonale panującej nad sobą. Ale czasem, ni stąd, ni zowąd, wydawała się tak niewinna, tak naiwna, tak kompletnie pozbawiona przebiegłości. Zachodził w głowę, jaka była prawdziwa Camryn i jakiej najbardziej by pragnął.

Oszołomiony, wpatrywał się w omdlałą kobietę, którą trzymał w ramionach. Miała zamknięte oczy, twarz bez śladu napięcia. Jej niezwykła uroda i to, że patrząc na nią w ten sposób, czuł bolesny ucisk w piersi, zaniepokoiły Macka nie na żarty.

Pod wieloma względami było w niej dokładnie to, czego oczekiwał od idealnej żony. Na pewno Ignęli do siebie fizycznie. Delikatnie mówiąc. Camryn była dziewczyną z charakterem, dzielną, inteligentną, z odpowiednią dozą szaleństwa i miała subtelne poczucie humoru, które mu bardzo odpowiadało.

Ale zastanawiał się nad innymi zaletami, których wymagał od partnerki życiowej. Miał przeczucie, że ona coś ukrywa, ale nawet nie domyślał się, co to takiego.

Możliwość, że nie czuje się wystarczająco pewnie, żeby zdradzać swoje sekrety, niepokoiła go. A jej lojalność? Cóż, nie wiedział jeszcze, czy może jej naprawdę ufać, czy nie. Wziął ją delikatnie na ręce, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Zdjął jej pantofle i sukienkę. Potem usiadł obok i zaczął ją wachlować.

- Cam. - Mack klepnął ją w jeden policzek, potem . w drugi. - Camryn, słonko, obudź się.

Poruszyła się, westchnęła i przytuliła do jego uda.

- Oprzytomniej i powiedz, że nic ci nie jest. - Zaczynał się trochę martwić. Pomyślał, że jeśli za chwilę nie otworzy oczu, będzie musiał zadzwonić do siostry Quinna, Meggie, która była pielęgniarką w pogotowiu w Seattle. Przyjechała na lato do Bear Creek lizać rany po rozpadzie swojego sześćoletniego małżeństwa.

- Camryn. - Pogładził palcem jej podbródek.

Wolno otworzyła oczy i przez chwilę wyglądała jak mała zagubiona dziewczynka. Zamrugła nieprzytomnie, potem przeniosła wzrok na jego nagi tors. Oblała się rumieńcem i błyskawicznie odwróciła spojrzenie.

- Mój amulet - zachrypiała.

- Co?

- Mój naszyjnik. Mógłbyś mi go podać?

- Poczekaj. - Mack zmarszczył czoło. Ta kobieta miała dziwną skłonność do obscenicznych przedmiotów.

- I może jednak odprowadzisz mnie do pensjonatu.

- Dobrze.

Wstał, podniósł naszyjnik z podłogi i podał go Camryn. Właściwie sama wyrwała mu go z rąk i chciwym gestem założyła na szyję.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę.

Usiadła, opierając się o wezłowie łóżka i tym razem, spojrzawszy na goliznę Macka, nie odwróciła wzroku. A do tego czubkiem języka zwilżyła górną wargę. No właśnie, znów ta dziwna przemiana osobowości. W dodatku wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Camryn? Dobrze się czujesz?

- Tak, tak, nic mi nie jest. To chyba z nadmiaru emocji.

- Skarbie - szepnął, wciąż nieco zbity z tropu - jeśli mdlejesz w czasie rozgrzewki, strasznie jestem ciekaw, jak zniesiesz główne natarcie.



Następnego dnia Mack dostał zlecenie na kilka kursów z Anchorage. Same młode panienki, ciekawe kawalerów z Alaski. Jedna, dwie otwarcie próbowały z nim flirtować, ale Mack zbył je niezobowiązującym uśmiechem. Miał głowę tak zajęta Camryn, że po prostu nie był zainteresowany nikim innym.

Późnym popołudniem zaczął przebierać nogami, żeby się z nią zobaczyć. Kiedy poprzedniego wieczoru zostawiał ją w pensjonacie, nie robili żadnych planów, ale teraz miał nadzieję, że zechce z nim pójść do Caleba na pieczenie łososia. W holu pensjonatu wpadł na znajome z żeńskiej korporacji studenckiej z Las Vegas.

Kilka minut słuchał ich pijackich błazeństw, po czym wybąkał jakąś wymówkę i podszedł do recepcji. Poprosił Gusa, żeby zadzwonił do pokoju Camryn, ale nikt nie odbierał.

Uciekając przed drapieżnie głodnym wzrokiem studentek, które czekały na niego, najwyraźniej nie dając za wygraną, Mack wymknął się tylnym wyjściem na dziedziniec - i zobaczył Camryn, bawiącą się z Lulu plastikowym dyskiem.

Patrzył na nią długo, nim zauważyła jego obecność. Cholera, na sam jej widok myślał tylko o jednym. Wziął głęboki oddech, z całych sił starając się zmusić do posłuszeństwa własne ciało. Zamierzał podejść i zwyczajnie z nią porozmawiać, ale nie chciał reklamować swojej ożywionej męskości i wystraszyć dziewczyny.

Lulu zaszczeakała. Camryn odwróciła się przez ramię, wypuszczając w powietrze latający dysk.

Prosto w niego. Dokładniej, prosto w jego nos.

- Dobry Boże, kobieto. - Zawył z bólu, chwytając się za nos. - Uważaj trochę.

Przynajmniej nie musiał się martwić, że urazi ją swoim widocznym podnieceniem. Przeszło mu natychmiast.

- Mack! - W sekundę była przy nim. - Przepraszam! Naprawdę nie zauważyłam, że tu stoisz.

- Jasne.

- Pokaż ten nos. - Przysunęła się bliżej. - Bardzo boli? Nie leci ci krew?

- Chyba nie. - Mack zdjął ręce z twarzy.

Koniuszkiem palca dotknęła grzbietu jego nosa. I nagle ból zniknął. Była tak blisko, że mógł ją pocałować. Pochylił głowę w tym samym momencie, w którym Camryn cofnęła się, najwyraźniej nieświadoma jego zamiarów.

Kontuzjowany nos Macka zderzył się z czubkiem jej głowy.

- Au! - wyrwało mu się mimo woli.

- O mój Boże. - Zasłoniła dłonią usta. - Znów cię uderzyłam.

- Nie da się ukryć.

- Chciałeś mnie pocałować?

- Owszem, miałem taki zamiar.

- Przepraszam. - Założyła ręce za plecy, uniosła twarz i ściągnęła wargi. -

Możesz pocałować mnie teraz.

Nastrój prysł, nie mógł jednak sobie odmówić chociaż krótkiego pocałunku w te kuszące usta. Camryn westchnęła z rozmarzeniem, a on odsunął się o krok.

- Wiesz, że prawie nie masz na twarzy śladów ukąszeń?

- Dzięki tobie.

Ich oczy się spotkały i Mack poczuł, że zaczyna brakować mu oddechu.

- Hej... - odezwał się, bardziej po to, żeby skupić się na czymś bezpiecznym, niż żeby nawiązać rozmowę. - Gdzie twój amulet?

- Co? - Camryn złapała się za szyję. - Zginął!

Chwyliła garść swoich włosów i pociągnęła bezlitośnie. Nie! Dostyc tego! W histerycznym popłochu rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że kleptomanka Lulu też gdzieś zniknęła.

Mack mierzył Camryn takim samym dziwnym spojrzeniem jak poprzedniego wieczoru, kiedy wyszła od niego niespodziewanie wcześniej. Powoli zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma do czynienia z kobietą niezrównoważoną psychicznie.

Ale ona naprawdę nie mogła na to nic poradzić. Na wiadomość, że nie ma amuletu, przestawała nad sobą panować.

Prawdopodobnie nie miałaś go, kiedy Mack cię pocałował, i wcale cię to nie przeraziło, pomyślała.

Możliwe, ale teraz była przerażona. Nogi jej się trzęsły, zupełnie jak te maszyny do mieszania farb w sklepach malarskich. Czuła, jak się zmienia wprost na oczach Macka - w nudną i nieatrakcyjną Cammie Jo.

Musiała zniknąć mu z oczu. Natychmiast.

Spokojnie. Nie panikuj. Będziesz tak wciąż uciekała, aż w końcu, wcześniej czy później, facet cię skreśli jako straconą sprawę.

- Która jest godzina? - spytała w desperackim odruchu. Mogła udać, że jest umówiona.

- Wpół do szóstej.

- Och, przepraszam - wymamrotała - ale muszę już iść. Mam coś do załatwienia.

Stał między Camryn a drzwiami, blokując jej drogę ucieczki do pokoju.

- Ach tak? Co takiego masz do załatwienia?

- Eee... - Niech to szlag. Bez amuletu nie była nawet w stanie myśleć.

- Tak? - Czekał z uniesionymi brwiami.

- Muszę dokądś pójść.

- Dokąd?

- Umm... Yyy... - Nie umiała kłamać, a on mierzył ją wzrokiem wielkiego inkwizytora. - Idę do Kay,

- Kay jest z Quinnem w Anchorage.

- Nieprawda!

- Prawda. Sam ich zawiozłem jakieś trzy godziny temu, a odbieram dopiero jutro rano.

- Aa...

- Więc powiedz mi prawdę, Camryn. O co chodzi?

Nie mogła mu powiedzieć o amulecie. Straciłby magiczną moc, a bez magii ona nie byłaby dłużej kobietą budzącą pożądanie w Macku. Przyszpilona jego bezlitosnym spojrzeniem, otworzyła usta, ale nie wydusiła z siebie ani słowa. Nie miała nawet odwagi spojrzeć mu w oczy.

Uciekaj, i to już. Zmykaj.

Ale to może być twoja ostatnia szansa, żeby zachować się wobec niego uczciwie.

Ominęła go łukiem.

Próbował złapać ją za rękę, ale była mniejsza i szybsza. Dosięgnął tylko rąbka bluzki.

Cammie Jo usłyszała odgłos rozzieranej tkaniny, poczuła chłodny powiew na skórze, ale nie odwróciła się. Biegła na łeb, na szyję. Wpadła do kuchni, sforsowała podwójne drzwi, minęła recepcję.

- Camryn, wracaj natychmiast! - grzmiał za nią Mack.

Cammie Jo ślizgiem przedarła się przez grupę kobiet rozmawiających przed schodami. Biegła po dwa stopnie na raz, przemknęła korytarzem i wpadła do swojego pokoju. Nie zatrzymując się, żeby przekręcić gałkę zamka, dała nura do garderoby i zatrzasnęła drzwi.

Przebrać się. Musiała się przebrać. Wskoczyć z ubrań Camryn i wrócić do łachów głupiej Cammie Jo. Wyjąć zielone szkła kontaktowe i założyć toporne okulary. Upiąć włosy w „koczek babuni” i może wcisnąć na głowę kapelusz. Tym sposobem, gdyby ją znalazł, zrobiłby to, co zawsze robił na widok Cammie Jo - kompletnie by ją zignorował.

Dosyć, miarka się przebrała. Każdy, nawet cierpliwy, człowiek ma swoją granicę wytrzymałości, a Mack do specjalnie cierpliwych nie należał. Miał

zamiar zażądać od Camryn wyjaśnień, i to teraz. Zaslugiwał na to, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak naprawdę wciąż przed nim uciekała.

- Camryn! - krzyczał, nieświadomy obecności ludzi, którzy przyglądali mu się i chichotali. Patrzcie, co z nim zrobiła ta kobieta. Był człowiekiem ceniącym swoją prywatność. Człowiekiem, który nie znosił być obgadywany za plecami, a teraz robił z siebie przedstawienie z powodu jakiejś kobiety!

Hańba.

Ale niechęć do wystawiania na pokaz swojego życia osobistego nie powstrzymała Macka przed ściganiem Camryn. Jego gniew był silniejszy od zażenowania. Dopiero kiedy wbiegł na piętro, uświadomił sobie, że nie zna numeru jej pokoju. Jasny szlag.

- Camryn - zawołał znowu i nie zdziwił się, gdy nie odpowiedziała.

Potruchtał korytarzem, zobaczył, że drzwi do jednego z pokoi są lekko uchylone. Zapukał, a potem zawołał „Dzień dobry”.

Z wnętrza garderoby Cammie Jo usłyszała, jak otwierają się drzwi zewnętrzne. Przyłgnęła plecami do ściany i zacisnęła powieki. Jak mogła nie zamknąć się od środka?

- Hej, hej!

Słyszała jego zbliżające się kroki. Skamieniała z przerażenia. Była na wpół ubrana. Jej rozdarta bluzka leżała na podłodze, Cammie Jo miała na sobie białe rozpięte dzinsy. Bała się poruszyć.

- Camryn. - W głosie Macka brzmiał ton ojca karzącego niesforne dziecko. - Wiem, że tam jesteś. Słyszę twój oddech.

Kłamca! Ja nie oddycham.

- Proszę cię, wyjdź, przestań się wyglupiać.

Może gdyby pragnęła tego wystarczająco mocno, obudziłaby się w swoim łóżku w Austin.

- Myślę, że należy mi się jakieś wyjaśnienie. Chcę wiedzieć, co tu jest grane.

Cammie Jo wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze.

- Dlaczego uciekasz za każdym razem, kiedy się do siebie zbliżamy? Czy masz jakąś wielką mroczną tajemnicę, o której powinnaś mi opowiedzieć?

Tak!

- A może spotykasz się z kimś innym? Muszę to wiedzieć. Nie jestem facetem, który lubi się dzielić swoją kobietą z innymi mężczyznami.

„Swoją” kobietą? Mack uważał ją za swoją kobietę?

- Chcę wiedzieć.

On był zazdrosny! Ogarnęło ją dziwne poczucie kobiecej siły. Z tego, co wiedziała, żaden mężczyzna nie był o nią nigdy zazdrosny. Och, biedaku. Miała ochotę utulić go w ramionach, wyszeptać mu do ucha, że nie ma w jej życiu nikogo innego.

Ale czy byłby zazdrosny o prawdziwą Cammie Jo, gdyby znał prawdę?

- Błagam, Camryn, wyjdź i porozmawiaj ze mną. Ostrożnie otworzyła drzwi garderoby i wychyliła głowę.

Mack siedział ze skulonymi ramionami na brzegu łóżka. Wyglądał jak człowiek zbolący, zawiedziony, przygnębiony.

- Z nikim się nie spotykam - szepnęła, zasłaniając się płaszczem kąpielowym.

Uniósł głowę, rażąc ją piorunami swoich ciemnych oczu.

- Naprawdę? - Tak bardzo chciał w to wierzyć. Skinęła głową.

- Bardzo byś mnie tym zraniła. Moja matka zdradzała ojca na prawo i na lewo. Nie mogłem na to patrzeć i przysięgłem sobie, że nigdy nie będę miał niewiernej żony. Zaręczyłem się kiedyś, ale narzeczona puściła mnie kantem dla bogatszego faceta, więc wybaczone, że jestem trochę podejrzliwy. Jeśli ktoś inny wpadł ci w oko, po prostu mi powiedz. Wycofam się bez słowa. Bez żadnych scen, bez urazy. Ale proszę, nie okłamuj mnie.

- Nie spotykam się z nikim innym - wydusiła. Bez amuletu nie miała odwagi na nic więcej.

- Nie idziesz dzisiaj na randkę z kimś innym?

- Nie.

Wstał i podszedł do niej, ale Cammie Jo wycofała się do garderoby.

Owiał ją zapach jego wody kolońskiej, a jego bliskość przyprawiała ją o drżenie kolan.

- Jestem nieubrana.

- Może pójdziemy wieczorem do Caleba? Zjemy łososa z rusztu, potem odbędziemy długą rozmowę o wielu rzeczach.

Jak mogła iść gdziekolwiek bez amuletu? Na samą myśl, że miałyby wejść do pomieszczenia pełnego obcych ludzi, ogarniało ją przerażenie.

- Przykro mi, ale nie mogę.

- No tak. - Mack złożył dłonie z głośnym klaśnięciem. - Więc o coś tu chodzi. Może nie jest to inny facet na horyzoncie, ale z jakiegoś powodu nie chcesz być ze mną. Camryn, albo wyjdziemy dziś razem, albo o wszystkim zapominamy. Jakby nic się nie stało.

Jakby nic się nie stało? Nie. Tylko nie to.

Cammie Jo sięgnęła ręką do szyi, jakby przez samo dotknięcie miejsca na skórze, z którym stykał się jej naszyjnik, mogła wykrzesać z siebie chociaż gram odwagi.

Ta przeklęta kleptomanka Lulu.

- Więc jak będzie, Camryn? Naprawdę zależy mi na szczerzej odpowiedzi, bo zaczęło mi na tobie zależeć, a ja nie chcę stracić głowy dla kobiety, która nie może się na serio zaangażować.

Jej serce w tym momencie prawie oszalało.

Spuściła oczy. A więc koniec. Skończył się jej romans, zanim na dobre się zaczął. A niby czego się spodziewała? Jakim cudem ona i Mack mogli zbudować poważny związek oparty na jakiejś magii?

Co robić? Co robić?

Pokręciła głową, niezdolna mówić.

- W porządku. - Podeszedł do drzwi, pocierając dłonie. - To koniec.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Och, cioteczki. - Cammie Jo chlipała w słuchawkę podczas rozmowy telekonferencyjnej ze swoimi trzema zastępczymi matkami. Opowiedziała, co się wydarzyło, dodając na koniec: - Rzecz w tym, że Mack szaleje na punkcie Camryn, ale mnie traktuje jak powietrze.

- Ale ty jesteś Camryn - zauważyła ciotka Coco.

- Bez amuletu nie jestem. Ja i moje alter ego różnimy się jak dzień od nocy. Ona jest ładna, ja nie. Ona lubi flirtować, ja nie mam o tym pojęcia. Ona niczego się nie boi, ja jestem strachajło.

- Nonsens - powiedziała ciotka Kiki. - Jesteś jedną i tą samą osobą.

- Kiedy jestem z Mackiem, czuję się paskudna oszustka. I kłamczucha.

- Cammie Jo, ty nigdy w życiu nie skłamałaś. - Ciotka Hildegarda z przejęcia mlasnęła językiem.

- Kłamałam tutaj. Mack myśli, że jestem tą śmiałą, cudowną kobietą, a ja nią nie jestem. Ten magiczny amulet to bardziej klątwa niż błogosławieństwo, naprawdę.

- Ale bez niego nigdy byś się nie odważyła na randkę z Mackiem - przypomniała ciotka Coco.

- Zaczynam myśleć, że tak byłoby lepiej. Przynajmniej bym nie cierpiała.

- Och, kotku - westchnęła Coco - tak bardzo chciałabym cię teraz przytulić.

- Zaparzyłabym ci herbatki rumiankowej - dorzuciła Kiki.

- A ja bym upiekła ciasto cytrynowe, to twoje ulubione - skończyła ciotka Hildegarda.



Jak dobrze i bezpiecznie było jej w domu. Cammie Jo westchnęła głęboko. Ogarnęła ją przemożna pokusa, żeby zabukować lot do Teksasu i wyjechać, ani słowem nikogo nie uprzedzając.

Wyjście dobre dla tchórze.

Tyle lat wybierała drogę ucieczki. Nie. Zbyt długo chowała się za spódnicami ciotek.

- Teraz Mack uważa, że jestem perfidną, łamiącą serca czarownicą.

- No cóż, kochanie - powiedziała ciotka Kiki - musisz go po prostu przekonać, że się myli.

- Nie mogę! Zginął mój amulet.

- Możesz wrócić do domu - przemówiła spokojnie Coco.

- Albo - wtrąciła swoje Hildegarda - możesz zostać i przetrząsnąć całą Alaskę w poszukiwaniu tego naszyjnika, tak jak zrobiłaby twoja matka.

O, co to za ton? Ciotka Hildegarda nigdy tak do niej nie mówiła. Cammie Jo wyprostowała się na krześle.

- Słucham?

- Moja droga, wypowiedziałas swoje życzenie, mogłabyś więc przynajmniej doprowadzić sprawę do końca.

- Proszę cię, Cammie Jo - jeszcze raz odezwała się Hildegarda - wykorzystaj swoją szansę.

- A jeśli on mnie nie kocha?

- W takim razie - zakończyła rozmowę ciotka Kiki - wrócisz do domu jako całkiem nowa kobieta. Trochę pokonana, trochę mądrzejsza, ale wolna, niezależna i tak dzielna jak twoja matka.

Cammie Jo pożegnała się z ciotkami i odłożyła słuchawkę. Przygnębiona padła na łóżko. To, że ciotki uparcie w nią wierzyły, było wzruszające, ale co z tego? Nie miały pojęcia, jak bardzo czuła się zagubiona, samotna i bezradna. Bez naszyjnika była jak sparaliżowana.

Charakterystyczne pobrzękiwanie psiego identyfikatora przykuło uwagę Cammie Jo do uchylonych drzwi. Siedziała tam Lulu, machała ogonem i trzymała coś w pysku.

- Lulu! - krzyknęła Camryn i zerwała się na równe nogi. - Przyniosłaś mój naszyjnik.

Cammie Jo szła swobodnym krokiem główną ulicą miasteczka, w opiętych dżinsowych szortach, sandałach na wysokich koturnach i w skąpej bluzce bez pleców w kolorach tęczy. Głowy odwracały się jak na komendę. Mężczyźni pogwizdywali. Trąbiły klaksony.

Uśmiechnięta, z koszykiem piknikowym kołyszącym się na łokciu, czuła odbijający się wesoło od jej dekoltu amulet. Zamierzała odzyskać Macka, właśnie tak. Skręciła w Inlet Road, ulicę prowadzącą do jego domu, i mijając pomost, przy którym cumowały hydroplany, wypatrzyła „Ednę Marie”. Mack odwiązywał cumę i wyglądało na to, że szykuje się do startu.

O Boże. Rzuciła się do biegu, wymachując ręką i wrzeszcząc, żeby zaczekał.

Uniósł głowę. Ich oczy się spotkały.

- Zaczekaj! Zaczekaj na mnie! Czekaj.

Zatrzymała się z półtora metra przed nim, łapiąc oddech. Mack nie wyglądał na zachwyconego.

- Czego chcesz, Camryn? - spytał bez uśmiechu.

- Zawrzcć pokój. - Wyciągnęła rękę z koszykiem. - Widzisz, przyniosłam kanapki.

- Mam nadzieję, że nie odwołałaś przez to innej randki, bo ja nie jestem zainteresowany.

- Mack, przestań. - Tupnęła nogą. - Musisz być taki uparty? Nie spotykam się z nikim innym.

- To dlaczego nie chciałaś wczoraj pójść ze mną do Caleba?

- Bo nie lubię być stawiana pod ścianą.

- Rozumiem.

- Dokąd lecisz?

- Potrzebuję trochę czasu na przemyślenie różnych rzeczy.

- A nie potrzebujesz towarzystwa? - Serce waliło jej jak oszalałe. Tak bardzo się bała, że Mack ją odtrąci. Że każe jej spadać.

W kąciku jego ust pojawił się nikły uśmiech. Otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wskakuj.

Hurra! Cammie Jo nie posiadała się ze szczęścia. Mack wzniósł samolot ponad góry, a ona nie czuła ani cienia strachu.

- Dokąd lecimy?

- Do mojej ulubionej kryjówki.

- Hm, brzmi ciekawie.

Wylądowali na jeziorze niedaleko soczyście zielonej polany. Okolica sprawiała wrażenie oddalonej od cywilizacji o lata świetlne, a nie kilkanaście minut lotu. Mack pomógł Camryn wysiąść, wyjął z luku bagażowego koc i rozłożył go na trawie. Położył się na boku i poklepał miejsce obok siebie.

Cammie Jo osunęła się na kolana. Wielki, rozległy pejzaż Alaski wydał jej się nagle mały i bardzo intymny, bo całą przestrzeń zajmowało muskularne ciało Macka. Nigdy dotąd nie była tak namacalnie świadoma obecności innej istoty ludzkiej.

Jedli w milczeniu, delektując się widokiem, ciszą i samym posiłkiem, ale kiedy skończyli, zabrakło im pretekstów do odwlekania rozmowy.

- Przepraszam - powiedział. - Za to, że zachowałem się jak jaskiniowiec. Nie miałem prawa stawiać ci ultimatum. Po prostu mnie poniosło.

- To prawda.

- Jesteś niezwykle atrakcyjną kobietą. Nie chciałem się tobą dzielić z kimkolwiek innym. - Mack objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - Wybaczysz mi, kwiatuszku?

- Oczywiście.

Kwiatuszku. Uwielbiała sposób, w jaki wymawiał to słowo. Kochała to coś, co pojawiała się w jego spojrzeniu, kiedy je wymawiał.

Nie mogła w to uwierzyć. Jako Cammie Jo, ze swoją chorobliwą nieśmiałością, nigdy nie zaznała tak bliskiego kontaktu z mężczyzną. Całe życie tłumiała swoje seksualne potrzeby, sublimowała je, przenosząc na pracę naukową.

Stworzyła sobie własną bezpieczną celę, z której oglądała świat zewnętrzny.

Amulet uwolnił ją z tego przytulnego więzienia, na które sama się skazała. Dawał możliwość dokonywania fantastycznych wyborów. Pozwalał penetrować do głębi własne, nie do końca rozpoznane pragnienia.

Chciała, żeby Mack się z nią kochał. Chciała tego rozpaczliwie.

Ale jak mogła się z nim kochać, udając kobietę, którą nie była? I jak mogła mu powiedzieć o amulecie, wiedząc, że gdy to zrobi, czar pryśnie - zniknie wszystko to, co Macka najbardziej w niej pociągało?

Mack przesunął palcem po jej nagim ramieniu, potem delikatnymi pocałunkami wspiał się po szyi do ust. Jej świat zawęził się do odczuwania doznań zmysłowych. Swoją drogą, czym właściwie była rzeczywistość? Ona była Camryn, a Camryn była nią. Czy to naprawdę miało tak wielkie znaczenie, że musiała nosić jakiś naszyjnik, żeby być osobą, którą pragnęła być?

Jutro majaczyło w jakiejś mglistej dali, liczyła się tylko ta chwila. Cammie pogрузyła się w świecie fantazji. Oddawała się najśmielszemu z wyobraźalnych marzeń. Uwodzicielski, wolny, chętny do żeniaczki przystojniak z Alaski całował ją namiętnie...

Całował i robił o wiele więcej. Zdawało się, że dokładnie wie, gdzie jej dotykać, żeby ogniki podniecenia objęły każdy milimetr jej wrażliwej skóry. Gładził i skubał. Całował i głaskał. Pocierał i masował.

W kompozycji erotycznych doznań miała swój udział i łąka. Wysokie trawy falowały i szeleściły jak serpentyny na balu. Rześki zapach górskiego powietrza działał na Cammie Jo jak afrodyzjak.

Mack rozwiązał troczki jej bluzki, zdjął ją wolnym ruchem i wilgotnym czubkiem języka przebiegł po nagim dekolcie. Potem zanurzył twarz w jej włosach.

- Pachniesz tak cudownie - wymruczał z czułością, która rozbroiła ją prawie do łez. - Jak samo lato.

Oddychając nierówno, rozpiął jej stanik. Odrzucił go na bok i schylił się, żeby łąpczywie pocałować jeden sutek.

- Och... - jęknęła i wyprężyła się jak struna. - Och!

Podniósł głowę i przez długą, długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Cammie Jo zobaczyła w tych przepastnych brązowych głębiach bezmiar pożądania.

Ten mężczyzna naprawdę jej pragnął. Jej! Dziewczyny, która do zeszłego tygodnia nie była jeszcze nigdy na prawdziwej randce.

Nie ciebie, głupia. On chce Camryn Josephine.

Ale w ułamku sekundy zachłanny pocałunek Macka sparaliżował jej zdolność myślenia. Poddała się, zapominając o wszystkim innym poza jego namiętnością.

Mack przyglądał się Camryn w niemym zachwycie. Tak bardzo chciał się z nią kochać, że ledwie pamiętał, jak się nazywa. Było tak dobrze.

A jednak ryzyko związania się z niewłaściwą kobietą w niewłaściwym czasie powstrzymywało go. Obiecał sobie przecież, że w wyborze żony będzie się kierował i uczuciami, i rozsądkiem.

A jeśli to była ta jedna jedyna - właściwa kobieta we właściwym czasie? Chciał jej ufać całym sercem, ale czy miał odwagę? Wsparł się na łokciu i spojrzał w jej żywe jak iskierki zielone oczy.

- Camryn... - Zamierzał jej powiedzieć o liście zalet idealnej żony, a potem wyszeptać, że właśnie ona jest jego ideałem.

- Tak?

- Jest coś, o co cię chciałem zapytać.

- Aha... - Usiadła, podwijając nogi.

Coś, nie wiedział co, choć podejrzewał, że mógł to być strach, powstrzymało go.

- Nie wybrałabyś się ze mną w przyszłym tygodniu na lodowiec? - spytał, zamiast wypowiedzieć słowa, którymi obnażyłby swoją duszę i ofiarował Camryn serce.

- I jak ci się podoba? - spytał głośno Mack, przekrzykując huk śmigłowca. Przywiózł ich „Edną Marie” do Haines, gdzie pożyczył helikopter od swojego kumpla.

Od kilku dni widywali się prawie bez przerwy. To miał być ostatni test. Camryn wracała za dwa dni do Teksasu, a on musiał się upewnić, czy ich związek ma szansę przetrwać na dłuższą metę. Na lodowcu miał się przekonać na sto procent, czy mogą sobie nawzajem ufać. Gdyby wszystko poszło dobrze, powiedziałby jej przed wyjazdem, co naprawdę do niej czuje.

Przez te ostatnie dni Mack spędzał z nią cały swój wolny czas, zaniehbując przyjaciół, zaniehbując obowiązki, zaniehbując wszystko poza Camryn. Razem wędkowali, pływali kajakiem, jeździli konno, wędrowali po lesie, fotografując dziką naturę. I z każdym mijającym dniem Mack coraz bardziej ją podziwiał.

- To fantastyczne! - odkrzyknęła z uśmiechem.

Przed ich oczami wyłaniał się lodowiec, zimny i olśniewający w swoim surowym pięknie. Mack oglądał go z tysiąc razy, ale ten widok zawsze budził w nim zachwyty. Podobnie było z patrzeniem na Camryn.

Lecieli teraz nisko nad wodą. Camryn zaśmiała się głośno, kiedy zobaczyła wylegające się na krze fok. A kiedy Mack zwrócił jej uwagę na wieloryba, po prostu zakrztusiła się z wrażenia.

- Tu jest tak pięknie.

- Dobrze się czujesz? - spytał, poklepując ją po nodze.

- Uhm. Tylko słabo mi się robi na myśl, że muszę stąd wyjechać, zostawić to wszystko...

Posadził helikopter na oblodzonym płaskowyżu, z widokiem na otaczające ich ze wszystkich stron górskie szczyty. Włożyli kombinezony do wspinaczki, zabrali konieczny sprzęt i zapas jedzenia. Mack pomógł Camryn wsiąść ze śmigłowca. Mimo czterech warstw ubrania, które miała na sobie, uderzenie zimna było niespodziewane. Zachłysnęła się ze zdumienia i zachwytu. To było to. Właśnie tak wyobrażała sobie Alaskę.

Pośliznęła się przy pierwszym kroku na lodzie i gdyby Mack jej nie chwycił, upadłaby jak długa. Ale dlatego że on był przy niej, i dlatego że miała na szyi amulet, przykryty warstwami ubrań, nie musiała się niczego bać. I raptem Cammie Jo zdała sobie sprawę, że nie było takiego miejsca na ziemi, w którym chciałyby być bardziej niż tutaj, na Alasce, z tym mężczyzną. Marzyła o tym całym latami, bojąc się jednocześnie, że pragnienie jej serca nigdy się nie spełni.

A teraz miała to wszystko.

Tylko na jak długo?

Jak gdyby wyczuwając jej nastrój, Mack pogładził ją z czułością po policzku.

Spojrzała mu w oczy. Opuszczała Bear Creek za dwa dni. Czy istniała jakaś nadzieja na utrzymanie związku na odległość? Czy istniał cień szansy na to, żeby Mack pokochał prawdziwą Cammie Jo?

Uśmiechnęła się z udawaną beztróską.

- W drogę, do roboty.

- To jest to, co kocham w tobie najbardziej - ten twój bojowy zapach.

Kocham. Powiedział „kocham”.

Żeby ukryć zmieszanie, Cammie Jo zabrała się do dzieła. Odrzuciła do tyłu głowę i pomaszerowała przed siebie po skrzypiącej tafli. Raki wbijały się z chrupotem w lód, dając jej poczucie pełnego bezpieczeństwa. Czowała się nieustraszona i niepokonana.

Nie mogła wprost uwierzyć, że jest tą samą Cammie Jo, która w dzieciństwie, ilekroć przychodzili goście, chowała się za kanapą i nie dawała się zza niej wyciągnąć ani prośbą, ani groźbą. Jej nieśmiałość była silniejsza od niej samej.

Świadomość, że oto spełnia się jej największe marzenie, była odurzająca jak narkotyk. Nigdy dotąd nie czuła się tak wolna, tak pobudzona, chłonna życia wszystkimi zmysłami, każdym porem skóry.

- Uważaj - ostrzegł Mack. - Lodowiec jest niebezpiecznym miejscem.

Ha! Nie bała się. Ani lodowców, ani polarnych niedźwiedzi. Nikogo i niczego...

Mack, z zaciśniętym nagle gardłem, przyspieszył kroku, żeby ją dogonić. Camryn gnała po lodzie jak oszalała, śmiejąc się i żartując. Zawsze marzyła mu się odważna kobieta. Żona z ikłą. Na tyle zwariowana, żeby radzić sobie z Alaską bez zmrużenia powiek. I myślał, że znalazł taką kobietę w Camryn.

Teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie za dużo w niej tego dobrego. Układając tę swoją pobożną listę życzeń wobec potencjalnej żony, nie wziął pod uwagę negatywnych stron cech, które uznawał za zalety. Odwaga może przejść w niebezpieczną brawurę, zamiłowanie do przygód może stać się męczące. Po raz pierwszy mu zaświtało, że trochę innych walorów należałoby oczekiwać od żony. Czy ona naprawdę musi być jego najlepszym kumplem? Zaraz, dlaczego ona tak pędzi?

- Camryn, zaczekaj na mnie. Możesz wpaść w szczelinę lodową.

- Dogoń mnie, jeśli potrafisz!



Naprawdę bojąc się o jej bezpieczeństwo, przyspieszył jeszcze bardziej, na ile tylko pozwalała mu ostrożność.

- Camryn, kwiatuszku, to nie są żarty, zwolnij. - Jego głos odbił się upiornym echem o otaczające ich góry. Zimne, rześkie powietrze, które normalnie uwielbiał, nagle wydało mu się przejmująco lodowate.

Wyprzedzała go o jakieś dwadzieścia metrów, z zachwytem i kompletną beztróską rozglądając się dookoła.

- Mack, co z tobą? Wleczesz się w ogonie i zrzedzisz.

- Camryn Josephine - wrzasnął, pomyślawszy ze zgrozą, że ta kobieta ma jednak nierówno pod sufitem. - Zatrzymaj się natychmiast!

- Albo? - Odwróciła się i zalotnie pokazała mu język.

Miał ochotę ściągnąć ją z lodu, wziąć na plecy, wrócić do helikoptera i kochać się z nią do upadłego.

- Albo przelozę cię przez kolano i złożę ci tyłek.

Nie wyglądała na przestraszoną. Szła dalej tyłem, nie przestając na niego patrzeć.

- A jeśli ja to polubię?

Niemal widział, jak wpada w szczelinę, łamiąc sobie ten piękny kark, zanim on miałby szansę go ukreścić.

- Pewnie polubisz, ty zawzięta kreaturo.

- To może spróbujesz?

- Stój tam, gdzie stoisz, to spróbuję. - Zrobił kilka długich kroków. Lód trzeszczał pod nim złowrogo, a ona dalej beczelnie się uśmiechała.

- Niby mam ci to ułatwić.

- Mówię poważnie, Camryn. Proszę cię, poczekaj na mnie. Jest tu pełno zdradzieckich szczelin.

- Nic z tego, nie złapiesz mnie.

- Wcale nie chcę cię złapać.

- Aha, nie nabierzesz mnie.

Pomyślał, że kiedy ją dopadnie, będzie całował dotąd, aż obieca mu, że nigdy więcej nie zrobi czegoś tak głupiego. Tymczasem był tak skupiony na śledzeniu każdego jej kroku, że przestał patrzeć pod własne nogi. Nawet nie zdążył jęknąć, gdy raptem stracił równowagę i zaczął zjeżdżać po lodowej ścianie z boku.

- I jak tam, Mack? - Cammie Jo pokpiwała śpiwnym głosem.

Była wniebowzięta! Bawiła się tak, jak nigdy nie mogła się bawić jako dziecko. Ciotki uparcie nie pozwalały jej jeździć na rowerze. Mogłaby się przewrócić i pościerać sobie kolana. Nie mogła jeździć na łyżwach, grać w piłkę ani nawet biegać. To było tak, jakby Mack pokazał jej sposób na odzyskanie kontaktu z tamtą małą dziewczynką, która straciła tyle okazji do radości i zabawy.

Zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Hmm. Macka nie było. Dokąd on poszedł?

- Mack? Gdzie jesteś?

Ochłonęła natychmiast i zawróciła. Tu nie było gdzie się schować, poza helikopterem, który stał jakieś pół kilometra dalej. Nie, nie zszedłby tak szybko. Przyszło jej na myśl tylko jedno miejsce, w którym mógł być.

Zauważyła przecinające im drogę szczeliny. Głębokie pęknięcia sięgające do wnętrza lodowca. Nie robiły na niej wrażenia. Ale gdyby w taką wpaść...

- Mack! - wrzasnęła jak opętana. - Gdzie jesteś?

- Tutaj, Camryn - odezwał się absolutnie spokojnym głosem.

Kamień spadł jej z serca, ale nadal nie widziała niczego poza białobłękitną, rozciągającą się po horyzont płaszczyzną lodu i stadkiem chmur przetaczających się przez górską przełęcz.

- Gdzie jest to „tutaj”?

- Idź ostrożnie w lewo.

Skreśliła posłusznie, ze schyloną głową wypatrując biegnących pod lodem rozpadlin, ale jak dotąd żadna nie była wystarczająco szeroka, żeby pochłoniąć dorosłego mężczyznę.

- Mack?

- Idź dalej, kwiatuszku.

- Przepraszam, gdybym wiedziała, że tak się stanie...

- Żadnych wyrzutów. To nie była twoja wina. Zwykle ryzyko chodzenia po lodowcu.

Gardło miała ściśnięte ze strachu. Gdyby Mackowi coś się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Kilka kroków dalej zauważyła potężny uskoki. Dlaczego nie widziała go wcześniej? Podeszła ostrożnie bliżej. Kiedy mignęła jej ciemna głowa Macka, straciła oddech w piersi.

Był metr pod powierzchnią, zaklinowany w zwężeniu szczeliny własnym plecakiem. Jego czekan tkwił wbity w półkę lodową, a on sam trzymał się obiema rękami ściany, żeby nie ześliznąć się głębiej.

Cammie Jo uklękła i ostrożnie wychyliła się poza krawędź.

Uśmiechnął do niej.

- Nic ci nie jest?

- Nie, ale mamy niezły pasztet, bo wypadła mi komórka. Chciałbym, żebyś wróciła do helikoptera i wezwała pomoc przez radio. Dasz sobie radę?

Czy da sobie radę? No oczywiście. Miała magiczny amulet. Mogła zrobić wszystko.

Cammie Jo sięgnęła ręką do naszyjnika, ale nie wyczuła znajomej wypukłości. Poklepała się po grubej kurtce.

Ogarnęła ją śmiertelna panika. Znow to samo. Nie! Nie teraz.

Usiadła na piętach i zerwała z siebie kurtkę. Potem sweter, bluzkę, wszystko do gołej skóry. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie miała swojego amuletu, a Mack jej potrzebował.

- Camryn? O co chodzi? Co się stało?

Nerwowy głos Macka przywołał ją do rzeczywistości. Trzęsąc się ze strachu i z zimna, ubrała się, ale nie była w stanie mu odpowiedzieć. Nie mogła nawet myśleć.

- Camryn, co się dzieje? Odezwij się do mnie.

Jęknęła przeciągle, objęła się kurczowo ramionami i zaczęła się kiwać w tył i w przód jednostajnym ruchem.

- Przysuń się - rozkazał. - Tak żebym widział twoją twarz.

Potrząsnęła głową. Sunące ku nim chmury zgęstniały, stały się ciemną mgłą, która przysłoniła słońce. Cammie Jo z trudem łapała oddech.

- Camryn! Odpowiedz mi!

- Nie jestem Camryn - zawyła, wychylając się jeszcze raz poza krawędź uskoku.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- O czym ty mówisz? - Mack patrzył na nią z mieszaniną niepokoju i konsternacji.

- Nie jestem Camryn Josephine. To znaczy jestem. Tak się naprawdę nazywam, ale nie jestem tym, kim myślisz, że jestem. Nie jestem odważna, beztroska ani przebojowa.

- Więc kim jesteś?

- Cammie Jo Lockhart.

- Cammie Jo? - Zmarszczył czoło.

- No wiesz. Wiozłeś mnie samolotem do Bear Creek i kiedy myślałam, że się rozbijemy, wbiłam głowę w twoje kolana.

- Mówisz o Tammie Jo?

- Nie, Cammie Jo.

- Nic z tego nie rozumiem.
- Jestem przerażona. Nie dam rady, nie wrócę sama do helikoptera.
- Dlaczego?

Opowiedziała mu o naszyjniku z amuletem. Jakie miało teraz znaczenie, że magia przestanie działać? I tak było po wszystkim. Powiedziała Mackowi, dlaczego musiała przed nim uciekać, dlaczego zemdlą w jego ramionach. Dlatego, że bez magicznej mocy naszyjnika zbyt bardzo bała się życia.

- Ale ty masz zielone oczy, a Cammie Jo niebieskie.
- Szklą kontaktowe.
- No i jesteś bardziej... W porównaniu z nią masz czym oddychać.
- Stanik podnoszący biust.
- Tylko nie mów, że masz drewnianą nogę.
- Proszę cię, nie próbuj mnie rozśmieszyć. Jestem śmiertelnie poważna.

Mack patrzył na nią w osłupieniu. To było idiotyczne, bez sensu, nie trzymało się kupy, a jednak wiedział, że ona naprawdę wierzy w to, co mówi. Bo naprawdę zmieniła się na jego oczach i ta metamorfoza była zadziwiająca. Niesamowita.

Nie było już śmiałej, pewnej siebie Camryn. Na krawędzi rozpadliny trzęsła się przerażona Cammie Jo. Zwiotczały jej ramiona, oczy straciły swój blask. To nie była ta sama kobieta, w której się zakochał.

Zakochał?

Miał wrażenie, że zdradziło go własne serce. Był tak zajęty szukaniem idealnej żony, że przeoczył to, co oczywiste.

- Nigdy cię celowo nie okłamałam - wymruczała Cammie Jo. - Pamiętasz, jak spotkaliśmy się na przyjęciu zorganizowanym przez gazetę? Nie poznałeś mnie. A potem widywałeś Cammie Jo w pensjonacie i nigdy na nią - na mnie - nawet nie spojrzawsz. Byłam dla ciebie niczym. Nikim.

Miała rację. Oskarżony przyznaje się do winy. Ona nic tu nie zawiniła. Nie miał prawa czuć się urażony ani oszukany. Czasami zmysły zawodzą.

- Cammie Jo, teraz to wszystko jest bez znaczenia. Spójrz na mnie. - To ty robiłaś te wszystkie odważne rzeczy, a nie jakiś magiczny amulet. Ty pokonałaś bystrza Mendenhall, ty stałaś oko w oko z niedźwiedziem.

- Który okazał się bezzębnym staruszkiem.

- Ale ty o tym nie wiedziałaś. I to ty, jeszcze kilka minut temu, gnałaś po lodowcu nie gorzej od zawodowych wspinaczy.

- Uhm, i zobacz, co z tego wyszło.

- Amulet był po prostu symbolem odwagi. Uwierzyłaś w niego i przez to uwierzyłaś w siebie.

- Żeby to mogła być prawda.

- To jest prawda. Posłuchaj mnie, Cammie Jo. Jesteśmy w poważnych tarapatkach i tylko ty możesz nas uratować. Musisz dotrzeć do helikoptera i wezwać przez radio pomoc albo oboje umrzemy na tym lodowcu. Kocham dzikie obszary Alaski, ale jesteśmy za młodzi, żeby umierać. Nie spełniłem jeszcze obietnicy, którą dałem swojemu ojcu.

- Jakiej obietnicy?

- Że spłodzę syna i przekażę mu nazwisko McCaulley. Jestem ostatnim męskim potomkiem rodu. To było dla mnie tak ważne, że ułożyłem sobie listę zalet żony doskonałej. - Opowiedział jej o liście, o tym, jak próbował znaleźć idealną partnerkę. I jak bardzo Camryn odpowiadała jego ideałowi.

- Mack, ale to nie ja jestem tą kobietą.

- Jesteś, Cammie Jo, jesteś. Ja w ciebie wierzę.

- Nie masz pojęcia, jak strasznie się boję.

- Zrób to dla swojej matki. Ona pochodziła z Alaski, prawda? I była pilotem. To znaczy, że była dzielną kobietą, a ty jesteś jej córką. Masz we krwi jej geny. Hej, kwiatuszku, dasz radę, zobaczysz!

Dasz radę.

Jego słowa otuchy dzwoniły jej w uszach. Cammie Jo wzięła głęboki oddech i wstała. Musiała to zrobić. Dla Macka. Nie potrzebowała magii.

Posuwała się krok za krokiem przez gęstą mgłę w kierunku helikoptera - modląc się, żeby to był właściwy kierunek. I wyteżonym wzrokiem wypatrując zdradzieckich uskoków.

- Tak trzymaj, kwiatuszku - zawołał Mack po tym, jak uszła zaledwie kilka metrów. - Dobrze ci idzie.

Łatwo mu było mówić. Nie widział jej. A czuła się strzępem człowieka.

Gdy po jakimś czasie, który zdał się wiecznością, Cammie Jo dostrzegła ciemny rozmyty kształt śmigłowca, wybuchła płaczem. Z triumfu i wyczerpania.

- Jestem na miejscu, Mack - krzyknęła.

- Spisałaś się na medal, kochanie. - Jego głos wydawał się tak odległy, ale słyszała wyraźnie. - A teraz siadaj do radia i wydostań nas stąd.

Ekipa ratunkowa, składająca się między innymi z Quinna, Jake'a, Caleba i siostry Jake'a, Meggie, wydostała Macka ze szczeliny lodowej. Zadanie było trudne, ale w końcu wyszedł z tego bez szwanku.

Gdyby Cammie Jo posłuchała własnej intuicji, rzuciłaby mu się na szyję, ale zabrakło jej odwagi. Bała się, że Mack pomyśli sobie teraz Bóg wie co. Bała się, że ich romans jest skończony.

Ratownicy opatulili ich kocami i uraczyli gorącą czekoladą z termosu. Oczywiście inny zawodowy pilot usiadł do steru, żeby zwrócić helikopter właścicielowi. Meggie poleciała z nimi i zbadała Macka.

Mack potraktował całą sytuację lekko i ani razu nie dopuścił w rozmowie sugestii, jakoby to brawura Cammie Jo spowodowała jego wypadek. Każdy, kto miał pojęcie o wyprawach lodowcowych, wiedział, że ryzyko wpisane jest w tę przyjemność. Więc naprawdę jej nie winił, co nie zmieniało faktu, że Cammie Jo obwiniała samą siebie.

Ale jak powiedziała jej Meggie, życie jest warte ryzyka, bo co to za życie, kiedy patrzysz na nie z boku, umierając ze strachu?

Cammie Jo, poruszona tymi słowami, odwróciła wtedy oczy i zderzyła się z badawczym spojrzeniem Macka. Westchnęła i spuściła głowę.

Kiedy wylądowali w Bear Creek, Mack zapewnił Meggie, że czuje się świetnie i nie wymaga przebadania przez doktora Hendersona w Haines.

Cammie Jo stała na pomoście, nie wiedząc, co robić. Mack ujął ją pod łokieć i poprowadził do swojej półciężarówki.

- Chodź, zawiozę cię do pensjonatu. - Kiedy oboje byli w środku, odwrócił się do niej i poczekał, aż spojrzy mu w oczy. - Jestem z ciebie bardzo dumny. Trzeba mieć sporo zimnej krwi, żeby w gęstej mgle przejść taki kawał drogi po spękany lodowcu.

- Dź-dzięki.

- Ale jestem strasznie skołowany. Muszę dać sobie trochę czasu na przemyślenie różnych rzeczy.

- Kiedy cię znów zobaczę?

- Nie wiem, Cammie Jo, naprawdę nie wiem. Zostawił ją przed pensjonatem i odjechał, nie spojrzawszy za siebie.

Koniec pieśni. Amulet diabli wzięli, jej wielka przygoda zbliżała się do finału. Pojutrze wracała do Teksasu.

Przygnębiona Cammie Jo obróciła się na łóżku, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do jedyńskich trzech osób na świecie, które były w stanie ją zrozumieć.

Ciotka Hildegarda odebrała po trzecim dzwonku. Cammie Jo na sam dźwięk jej głosu zaczęła płakać.

- Kochanie, co się stało?

Łkając w słuchawkę, Cammie Jo opowiedziała, w jaki sposób nieodwracalnie straciła amulet. I Macka.

- Jesteś pewna, że wszystko między wami skończone? Może on potrzebuje czasu na przemyślenie.

- To koniec.



- Cóż, przykro mi to słyszeć. I szkoda, że zginął ten naszyjnik. Twoja matka zostawiła w nim jeszcze jeden liścik na wypadek, gdybyś wpadła w tarapaty.

- Co? Nawet nie wiedziałam, że ta figurka była wydrążona.

- Owszem, była.

- O czym mama pisała w tym liście?

- Nie wiem. Był napisany dla ciebie. Nie czytałyśmy go.

Ogarnęła ją bezdenna żalność. Więc nigdy miała nie przeczytać ostatnich matczynych słów pocieszenia.

- Och, ciociu, co ja mam zrobić?

- Wracaj do domu, skarbie. Kochamy cię.

W ich opiekuńcze ramiona. Pozwolić się dalej rozpieszczać, hołubić, chronić przed niebezpiecznym światem. Dlaczego nie, skoro nie nadawała się do prawdziwego życia?

Mack pucował „Ednę Marie” mięciutką irchą i starał się nie myśleć o Cammie Jo. Z kiepskim skutkiem. Kawał nocy spędził na rozpamiętywaniu wszystkiego, co wydarzyło się na lodowcu.

Było wpół do siódmej rano, a pierwszy kurs miał dopiero o ósmej. Otworzył drzwi od strony pasażera, żeby uprzątnąć śmieci. Podniósł z podłogi kubek jednorazowy i papierek po gumie do żucia, potem zauważył jakiś przedmiot wciśnięty między przednie siedzenia. Amulet Cammie Jo? Sięgnął po niego, podniósł szpetny naszyjnik i przytrzymał w rękach.

- Chciałbym - powiedział - żeby Cammie Jo przeżyła swoje wymarzone szczęśliwe zakończenie.

W tej samej chwili Mack doznał olśnienia. Przez większość swego dorosłego życia zadowalał się pięknymi, lecz raczej pustymi kobietami, przy których nie miał obaw, że któraś z nich złamie mu serce. Jeśli się czegoś naprawdę bał, to małżeństwa - tego, że okaże się ono takim samym

nieporozumieniem jak małżeństwo jego ojca. Unikał więc wszelkiego ryzyka, wybierając dziewczyny, którym ani w głowie było szukanie męża.

Ale gdy ojciec na łożu śmierci wymógł na nim obietnicę, że ożeni się i będzie miał dzieci - dzięki którym przetrwa nazwisko McCaulley - Mack sporządził swoją listę, czyli szkic psychologiczny „ideału”. Wybrał cechy, które wskazywały na osobę będącą dokładnym przeciwieństwem jego niestałej matki i rozrywkowych przyjaciółek.

I nagle pojawiła się Camryn. Wydawała się wcieleniem wszystkiego, co najlepsze z obu światów. Odważna i lojalna, a jednocześnie piękna i kochająca zabawę.

Aż do wczoraj, kiedy odkrył, że Camryn nie jest tym, za kogo ją miał.

Była kimś więcej. O wiele, wiele więcej.

Była też Cammie Jo. Kobieta wielkiego serca i ducha, która rozpaczliwie chcąc przewyciężyć swoją nieśmiałość i lęki, całą wiarę przelała na amulet. A wiara ta okazała się tak silna, że z głębokich pokładów jej osobowości wydobyła najwspanialsze cechy.

Odmieniona Cammie Jo nie zdawała sobie tylko sprawy, że moc tkwiła w jej sercu, a nie w naszyjniku.

Cammie Jo pakowała walizki. Z ciężkim sercem postanowiła wyjechać dzień wcześniej. Jaki był sens w pałętaniu się tu jeszcze całą dobę? Amulet diabli wzięli, przygoda się skończyła. Mack nie zaproponował, żeby została na Alasce.

Ścisnęło ją lekko w żołądku.

Usłyszała pukanie do drzwi. Może Kay przyszła się z nią pożegnać.

Wcisnąwszy na nos swoje ciężkie okulary, wstała, żeby otworzyć. I znalazła się twarzą w twarz z Mackiem.

Prawie zachłysnęła się powietrzem.

- Cześć - powiedział miękko.

Zdrętwiały język nie pozwalał jej przez moment wydusić słowa.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską w głosie.

- Ja... tak. Może wejdiesz do środka.

Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i wyjął coś z kieszeni.

- Znalazłem to w samolocie.

Wyciągnęła dłoń, a on wolnym ruchem włożył do niej naszyjnik. Poczowała promieniujące w górę znajome ciepło i wpatrywała się w zgubę, kompletnie oszołomiona.

- Zgubiłam naszyjnik, zanim weszliśmy na lodowiec?

- Wygląda na to, że skacząc po lodzie jak kozica, korzystałaś z własnego napędu.

Przypomniała sobie, co ciotka Hildegarda mówiła o liście schowanym w amulecie. Odwróciła figurkę do góry nogami i zobaczyła gumową zatyczkę. Wyjęła ją w pośpiechu, wytrząsnęła ze środka mały zwitek papieru i z namaszczeniem go rozwinęła. Karteczka była pożółkła, atrament wypłowił. Uniosła ją pod światło i przeczytała:

*Mam nadzieję, kochanie, że do tego czasu spełniło się pragnienie twego serca. O czymkolwiek zamarzysz, możesz to zrobić. Moc wypełniania przeznaczenia i magia amuletu były w twoim sercu i umyśle od zawsze. To siła twojej wiary sprawiła, że magia zadziałała. Tak więc znasz już prawdę. Ty sama tworzysz swoją przyszłość. Wierzę głęboko, że będziesz dokonywała właściwych wyborów.*

*Kocham cię, Mama*

Zaszokowana Cammie Jo przeczytała list jeszcze raz i jeszcze raz. Amulet nie miał w sobie nic magicznego. Camryn, jej uśpione ja, tkwiła w niej od zawsze. Jej możliwości, talenty, prawdziwa siła charakteru potrzebowały tylko wiary, która by je wyzwoliła.

Postępowała odważnie, bo wierzyła, że jest odważna. Odważne postępowanie pozwoliło jej się zmierzyć z własnymi lękami, a to z kolei dało poczucie wewnętrznego spokoju i wolności - nawet jeśli nie każde jej pragnienie mogło być spełnione.

Spojrzała na Macka i ścisnęło jej się serce.

- Co to jest?

- List od mojej mamy. - Podała mu kartkę, żeby sam przeczytał.

- No tak - powiedział po długiej chwili. - No tak.

- Wygląda na to, że nie kłamałam.

- Nigdy nie myślałem, że kłamiesz.

- Ale wczoraj...

- Cii. - Położył palec na jej ustach. - Przyszedłem tu nie tylko z powodu naszyjnika.

- Tak?

- Dużo myślałem. Wreszcie zdałem sobie z czegoś sprawę.

- Mianowicie?

- Ta moja lista... no wiesz, to jakaś bzdura. - Wyjął z kieszeni kartkę i zaczął ją powoli drzeć. - Nie można ustalić składników na dobrą żonę, to nie przepis kulinarny.

- Nie? - Cammie Jo cofnęła się o krok.

- Nie. - Mack zrobił krok do przodu.

- Więc jak znajdziesz swój ideał?

- Myślę, że już go znalazłem.

- Najweselsza z siostrzyczek żeńskiej korporacji studenckiej? -  
podpowiedziała, cofając się dalej.

- Zimno. - Następny krok do przodu.

- Siostrzyczka pucołowata? - Jeszcze dwa kroki w tył i, och, ściana.

- Więc kto?

- Jakbyś nie wiedziała.

- Camryn?

- Nie. Cammie Jo. Kocham cię, Cammie Jo. Całą cię. Tę twoją stronę, która jest przebojową Camryn i tę, która sączy gorącą czekoladę w papuciach z Królikiem Bugsem. Kocham cię w okularach i kocham cię bez nich.

- Jesteś pewien?

- Niczego, w całym swoim życiu, nie byłem pewien bardziej. Ale jeśli ty nie jesteś gotowa, rozumiem. Jeśli potrzebujesz więcej czasu na przemyślenie różnych rzeczy, w porządku, nie ma pośpiechu. Znamy się dopiero dwa tygodnie.

- Mam uczucie, jakbym cię znała całe swoje życie.

- A ja, że cały czas czekałem, aż pojawisz się w moim. Przenieś się do Bear Creek, Cammie Jo. Mogłabyś wynająć pokój w pensjonacie Jake'a. Biblioteka publiczna w Juneau poszukuje specjalisty informatyka... A doktorat mogłabyś skończyć, korzystając z Internetu.

- Skąd wiesz?

- Przed przyjściem zadzwoniłem do nich.

- Naprawdę?

- Codziennie mógłbym cię wozić do pracy.

- Albo nauczyłbyś mnie latać.

Nagle Mack zdał sobie sprawę, że cały czas wstrzymuje oddech, czekając, aż Cammie Jo odpowie na jego wyznanie miłości.

- To znaczy, że rozważasz pomysł przeniesienia się do Bear Creek?

- Och, Mack - westchnęła. - To jest największe marzenie mojego życia.

Cisnął za siebie podartą listę, potem delikatnie zdjął okulary i pocałował Cammie Jo w usta.

Była pewna, że serce tłucze jej się w piersiach z podniecenia, a nie ze strachu. Jej nozdrza pulsowały, chłonąc łąpczywie jego zapach, jego ciepło, jego gorączkę.

Więcej. Chciała więcej. Chciała się kochać z mężczyzną swoich marzeń, który właśnie wyznał jej miłość. Mruczając przeciągle, złapała go za kołnierzyk koszuli i pociągnęła w stronę łóżka.

- Co jest? - Mack wytrzeszczył oczy. - Co ci chodzi po głowie?

- A jak myślisz?

Kąciki jego ust uniosły się w górę, a dołki w policzkach pogłębiły.

- Ale nie zemdlejesz mi tu, co?

- To była specjalność dawnej Cammie Jo. Żadnego mdlenia. Obiecuję.

Odetchnął głęboko, kiedy opadła na miękki materac i pociągnęła go na siebie.

- Jesteś pewna? Chcę, żeby to był właściwy moment.

- Masz przy sobie kondom?

- Tak.

- W takim razie, kochany, to jest najważniejszy moment. Tu i teraz.

Czekała tak długo na tę chwilę, a kiedy w końcu nadeszła, Cammie Jo niczego się nie bała.

Z Mackiem czuła się bezpiecznie, czuła się kochana i, och, gotowa spełnić swoje najbardziej szalone erotyczne fantazje.

Mack jęknął, a potem całował ją z dziką, niepoohamowaną namiętnością, jakby od tego miało zależeć ich życie.

- Najpierw muszę ci coś powiedzieć - szepnęła Cammie Jo, kiedy oderwali się od siebie dla złapania oddechu.

Następny sekret? Zamarł w bezruchu, szykując się na wszelkie możliwe rewelacje, pewien, że nic, co usłyszy, nie wypędzi go z tego pokoju. Darzył tę kobietę głębokim uczuciem i cokolwiek miała mu do powiedzenia, jakiegokolwiek chciała mu uświadomić trudności, mogli je rozwiązać wspólnie.

- O co chodzi, kwiatuszku? - Tysiące czarnych scenariuszy tłoczyło mu się do głowy.

- Ja... ja... nigdy tego nie robiłam. Radosna czułość przepełniła mu serce.

- Jesteś dziewczicą?

- Uhm... Czy to będzie duży problem?

Zaśmiał się i duża męska łza zabłysła w kąciku jego oka.

- Żaden problem. Rozprawimy się z tym lekko, łatwo i przyjemnie.

W jej niebieskich oczach, niezmienionych przez szkła kontaktowe, nieukrytych pod grubymi okularami widział bezgraniczne oddanie. Dla Cammie Jo mógłby teraz przenosić góry, zrobiłby wszystko, żeby zatrzymać na jej twarzy ten uśmiech i to ufnie światło bijące z jej oczu.

Rozbierał ją powoli, z namaszczeniem, starając się nie uronić ani chwili rozkoszy. Gładził delikatnie, pieścił ustami, coraz czulej, mniej zachłannie, oszołomiony jej słodkim, najslodszy smakiem i świadomością, że będzie jej pierwszym i jedynym kochankiem.

Kiedy ostatnia część ubrania wylądowała nie wiadomo gdzie, położył dłoń na jej piersi, znajdując kciukiem twardy koniuszek. Zamknęła oczy, a on patrzył, jak rozchyła usta i oddycha coraz głębiej. Schylił głowę i zastąpił kciuk wargami, ssąc łakomie jeden sutek, potem drugi, aż wyprężyła się jak struna i krzyknęła.

- Cii... - wymruczał, zsuwając rękę w dół, błędząc palcami po brzuchu, coraz niżej i wreszcie jednym stanowczym ruchem wdzierając się między uda.

Wilgotna i oczekująca, uniosła gwałtownie biodra, doprowadzając Macka do szaleństwa. Z jej gardła wydarł się zduszony, omdlewający jęk i wtedy jego pożądanie dosięgnęło zenitu. Wystarczy, pomyślał, jak na lekko, łatwo i przyjemnie.

- Mack, och Mack, nie wytrzymam tego dłużej.

- Ja chyba też nie, kwiatuszku.

- Kochaj się ze mną, błagam, szybciej.

Zdarł z siebie ubranie i założył kondom, a po kilku sekundach leżeli obok siebie, spleceni nagimi udami.

- Powiedz, jak zaboli, to przestaniemy.

- Nie boję się - szepnęła. - Wierzę ci.

Przyciągnął ją bliżej: Napotkała twardy jak kamień opór i mimowolnie napięła mięśnie.

- To jest to, kochanie... spróbuj się rozluźnić. Spokojnie, spokojnie...

- Nie. Nie przestawaj.

- Ale sprawiam ci ból.

- Nie. - Jej oddech był coraz bardziej chrypiący, oczy ogromniały. - Czuje się tylko strasznie pełna.

Gdy w końcu wbił się w nią głęboko, do końca, zamknął oczy i usłyszał własny jęk.

Cammie Jo była jego. On należał do niej. Razem byli jednym i tym samym. Czymś o wiele więcej niż jednym i drugim osobno.

Garnęła się do niego tak śmiało, była tak rozpalona, że Mack musiał zagryźć dolną wargę, żeby nie krzyknąć. Kiedy otworzył z powrotem oczy, zobaczył łzy toczące się po jej policzkach i momentalnie przejął go strach.

- Och, Cammie Jo. Tak cię boli? Przepraszam. Przepraszam cię.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy. Więc to tego jej brakowało przez wszystkie te lata. Niewiarygodne.

- Płaczę, bo jest mi tak cudownie, bo jestem tak szczęśliwa, bo nigdy nie myślałam, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

- Och, kwiatuszku. - W jego głosie też było słychać tłumione łzy. - Kocham cię, Cammie Jo Lockhart - wyszeptał jej do ucha. - Teraz i na zawsze. Nigdy o tym nie zapominaj.

- A ja kocham ciebie, Macku McCaulley. Do końca moich dni.



## EPILOG

*Amatorka dzikiej natury znaleziona. Cammie Jo Lockhart nadaje się na żonę dla kawalera z Alaski.*

Cammie Jo zerknęła w dół na tytuł ostatniego artykułu Kay dla magazynu „Metropolitan”, potem spojrzała na przyjaciółkę, która w swojej sukni ślubnej wyglądała olśniewająco. Obie kobiety czekały w przedsionku kościoła na pierwsze dźwięki marsza. Wkrótce Kay Freemont miała zostać panią Scofield.

- Pomyślałam, że zechcesz zerknąć na ostateczną wersję. - Kay uśmiechnęła się.

- Nie myśl teraz o mnie. To twój wielki dzień.

- Ale ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, głuptasie. Ciągle o tobie myślę. Ten materiał ukaże się w październikowym numerze, razem z anonsem o waszym ślubie. Wiesz, że wciąż nie chce mi się wierzyć, że pozwoliłaś mi opisać historię naszyjnika.

- Jeśli moja opowieść pomoże choć jednej nieśmiałej kobiecie przezwyciężyć lęki i podążyć za głosem serca, to moc amuletu okaże się jeszcze większa. Prawdziwa magia polega na uwierzeniu w siebie.

- Tak się cieszę, że zamieszkas w Bear Creek na stałe. I że zgodziłaś się zostać moją druhną.

- Dwa miesiące temu w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że będę miała taką cudowną przyjaciółkę, i że będę miała odwagę stanąć w jej orszaku ślubnym.

- Jestem z ciebie taka dumna.

- A ja z ciebie!

Uściskały się, połykając nabiegające im do oczu łzy radości.

- Żadnego płaczu - powiedziała Cammie Jo, podając Kay chusteczkę. - Ratuj swój artystyczny makijaż.

- Niedługo sama pójdziesz do ołtarza. Mack jest wspaniałym facetem. Tak się cieszę, że udało wam się na siebie trafić.

- Ja też. On otworzył przede mną całkiem nowy świat i pomógł nawiązać kontakt z moją przeszłością. Wiesz, że w zeszłym tygodniu zabrał mnie do Fairbanks? Szukaliśmy krewnych mojej mamy i okazało się, że mam ciotki, wujków i kuzynów, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Poza tym dowiedziałam się wielu nowych rzeczy o mojej mamie.

- To wspaniale, Cammie Jo.

- A teraz, kiedy moje kochane cioteczki zgodziły się przenieść na Alaskę, to już naprawdę pełnia szczęścia!

- Zaslugujesz na pełnię szczęścia.

- Ty też, Kay.

Pierwsze takty muzyki przerwały im następną wymianę czułości. Cammie Jo poklepała Kay po ramieniu.

- Pora iść.

Z bukietem łubinu w zaciśniętej dłoni Cammie Jo otworzyła drzwi i wyprzedzając pannę młodą, ruszyła do ołtarza.

Świątynia była wiejskim kościółkiem, organy wyglądały na stare i wysłużone, a wielu gości miało na sobie dzinsy i flanelowe koszule. Ale dla Cammie Jo był to najbardziej romantyczny ślub, w jakim uczestniczyła.

Zatrzymała się w miejscu przeznaczonym dla drużyny. Naprzeciw niej stał Mack, druhna Quinna. Serce Cammie Jo załopotało radośnie na widok jej przystojnego alaskiego pilota. Jej mężczyzny.

Uśmiechał się do niej, jego brązowe oczy były przepelnione miłością.

Po chwili wyszeptał bezgłośnie: „Niedługo nasza kolej”. Potem wyjął coś dyskretnie z kieszeni.

Naszyjnik. Nieprzyzwoicie sugestywny jak zawsze.

Na szczęście, powiedziało jego spojrzenie.